Nr. 1. Rok 1.

SŁOWO POLSKIE.



LWÓW.
I. ZWIĄZKOWA DRUKARNIA WE LWOWIE.
1894.

„SŁOWO POLSKIE“.

Pismo poświęcone sprawom społecznym, polityce, literaturze i sztuce wychodzić będzie tymczasem jako dwutygodnik, dwa razy na miesiąc w dniu 10. i 25. każdego miesiąca w objętości przeszło 2 arkuszy druku formatu wielkiej 8°.

Pismo zawierać będzie następne działy:

1. Polityka i sprawy społeczne.
2. Kwestya kobieca.
3. Powieść, poezye, nowelle.
4. Nauka, sztuka.
5. Krytyka, sprawozdania.
6. Echa polskie.
7. Korespondencye.
8. Rozmaitości.
9. Bibliografia.
10. Wesoły kąt.

Grono stałych współpracowników *„Słowa Polskiego“* stanowią: P. P.: Dąbrowski Wojciech, Dr. Dulęba Bronisław, Dwernicki Tadeusz, Komornicki Stefan, Dr. Kłobukowski Stanisław, Korosteński Zygmunt, Dr. Lisiewicz Aleksander, Fr. Rawita, Kaźmierz Rosinkiewicz, Szwarce Bronisław, Dr. Wiktor Ungar, Leon Wasilewski, Dr. Rudolf Zuber i inni.

Możemy już liczyć na współpracownictwo wielu najznakomitszych sił literackich polskich, między innymi T. T. Jeża, Elizy Orzeszkowej, Wł. Okońskiego, Sewera, Maryi Konopnickiej, M. Rodziewicz, Alberta Wilczyńskiego, Kazimierza Glińskiego, Jana Nitowskiego itd.

Na najbliższe miesiące mamy już w tece następujące prace:

T. T. Jeża: Dołęga.

„ **Zdarzenie na księżycu.**

Alberta Wilczyńskiego: Iskra w popiele.

Kazimierza Glińskiego: Król Bolesław, dramat w pięciu aktach.

Zygmunta Sochy: Rok 1792, obraz dramatyczny w 2 aktach.

Jana Nitowskiego: Poezye.

Fr. Rawity: O położeniu własności ziemskiej na Ukrainie i Podolu.

Stale otrzymywać będziemy korespondencye i wiadomości ze wszystkich dzielnic Polski i to ze źródeł bezwzględnie wiarogodnych i poważnych. Zadanie wyświetlenia stosunków narodowych na całym obszarze Polski uważamy jako pierwszorzędne i mamy nadzieję, że w tym kierunku „Słowo Polskie“ będzie wypełniało dotkliwą w naszych stosunkach lukę w czasopiśmiennictwie z pożytkiem dla sprawy narodowej.

Listy i przesyłki polecone, tudzież pieniądze dla „Słowa Polskiego“ przeznaczone należy wysyłać pod adresem Dr. Aleksandra Lisiewicza (Lwów ul. Kopernika Nr. 6).

Redakcya przyjmuje interesantów dwa razy na tydzień, we wtorek i czwartek, od godziny 6 do 7 wieczorem w lokalu redakcyjnym przy ul. Kopernika l. 6.

Redakcya »Słowa Polskiego«.

Od następnego numeru będzie się liczył **dodatek** beletrystyczny, który stałym prenumeratorom prześlemy w końcu półrocza

Numer 2-gi wyjdzie dnia 25 b. m.

Treść Nr. I.

Rok I. We Lwowie. Dnia 15. Stycznia 1894. Nr. 1.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:

rocznie	12 koron	(6 złr. — ct.)
półrocznie	6 „	(3 „ — „)
kwartalnie	3 „	(1 „ 50 „)

Prenumerata z przesyłką:

rocznie	13 koron — ct.	(6 złr. 50 ct.)
półrocznie . . .	6 „ 30 „	(3 „ 30 „)
kwartalnie . .	3 „ 15 „	(1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

SŁOWO WSTĘPNE.

Trzydzieści lat minęło od czasu ostatniej walki narodu polskiego o niepodległość.

Z areny życia ustępuje już pokolenie szlachetnych, którzy życie i mienie swe narodowi kładli w ofierze. Zaciera się także pamięć krwawych zapasów o wolność „naszą i waszą“, a przecięte kordonami ziemie słabe tylko ślą sobie echa wewnętrznych walk lub usiłowań ku podtrzymaniu gasnącego, czy też ku rozwojowi tlącego jeszcze życia narodowego.

W głuchem milczeniu ciągną taczkę ciężkiego żywota nowe pokolenia, które już tymczasem wyrosły w epoce smutku i zwątpień, upadku ducha i braku nadziei, wśród ucisków wroga i szyderstw własnych braci, którzy bohaterskie wysiłki i idealne dążenia skązanych na zagładę Helotów z pogardą oplwali.

Ta niezdrowa atmosfera wpływów moralnych, a nadto co raz cięższe warunki walki o byt codzienny wycisnęły już piętno na nowem pokoleniu. Na widnokręgu życia narodowego nie widać gwiazd świecących pełnym blaskiem, wszędzie mroczno i smutno. Walka o byt i stanowisko zasłania wyższe idealne cele życia, osłabło i niknie niemal poczucie łączności narodowej, zapanowało potężnie samolubstwo i krótkowidzący partykularyzm. Z porządku dziennego zeszły wielkie sprawy ogółu, ustępując miejsca walce o drobne interesa jednostek. Nieobliczone szkody przynosi ten stan sprawie narodowej i rozwojowi życia narodowego.

Tymczasem na całym świecie potężnieje ruch, dążący ku rozwiązaniu największych zagadnień społecznych, rośnie szereg poważnych zadań, które wymagają roztrząśnięcia i wykonania.

Z każdym dniem wzmaga się ta fala, a my stoimy spokojnie, łudząc się nadzieją, że do nas nie dojdzie.

Daremnie. Dojść musi i zaleje bezradnych, zapomnianych!

Czas otrząsnąć się z tej martwoty, z tego uspienia! Czas przypomnieć sobie, żeśmy nie grupką samolubnych jednostek, ale odłamami kilkunastomilionowego narodu, który ongi kroczył na równi w szeregu wielkich państw europejskich, niósł na wschód pochodnię cywilizacyi, stanowił przedmurze dla zapędów ciemnego pogaństwa, krew przelewał na obu półkulach świata w obronie najdroższych praw ludzkich: wolności i niepodległości!

Czas połączyć swe siły ku dobru całego narodu, stanąć w obronie jego praw, śmiało spojrzeć w oczy największym zagadnieniom społecznym obecnej doby i nie cofnąć się przed trudnościami, stojącymi na zawadzie na drodze naszego odrodzenia! Osiągnąć je możemy *własną pracą*, podjętą dla dobra naszego narodu.

Świadomość tej konieczności istnieje w umysłach szlachetniejszych jednostek niewątpliwie. Tu i owdzie przebłyski jej ujawniają się w gorętszych zapędach pracy nad dobrem i oświatą ludu.

To jeden krok. Ale obszar życia narodowego jest olbrzymi. Wyplenić na nim egoizm, zapalić do szlachetnych celów życia, poznać stan i potrzeby narodu, gdziekolwiek tli życie narodowe, i starać się im zaradzić, zgnieść partykularyzm a podnieść poczucie łączności narodowej na całym obszarze ziem polskich, pracować nad rozwojem życia narodowego we wszystkich możliwych kierunkach, obudzić zapał do pracy i poczucie obowiązku, pogłębić poczucie sprawiedliwości i równouprawnienia, oświecić i uświadomić lud, iść śmiało za postępem czasu i nie zasklepiać się w zastarzałych przesądach — oto cały szereg zadań, nad którymi warto pomyśleć i rzetelnie popracować. Praca ta zaś musi być głębszą i śmielej poprowadzoną, niż to się dzieje dotychczas, musi być także należycie zorganizowaną, aby nie szła na marne. Brak tej śmiałości i brak należytej organizacyi pracy, tudzież brak stałych, szczerych zasad jest powodem, że stronnictwo postępowe w kraju naszym należnej mu roli wcale nie zajmuje, że także głosy niezadowolenia z jego działalności ciągle się wzmagają. A jednak po za szczupłem gronem naszych przywódców politycznych, zasklepiającem się li tylko we własnej skorupie, wyrosły już szeregi pracowników, którzyby powinni brać udział w pracy publicznej a których przewodnicy nasi powołać do tej pracy bądź to nie chcą, bądź też się boją....

Grono ludzi, które czuje ważność i wartość takiej łącznej pracy, chce w skromnym zakresie podjąć się części zadania, jakie ciąży na każdej jednostce, czującej swe obowiązki społeczne i narodowe.

Zakładamy pismo, które za główne zadanie sobie poczytuje zwalczać sobkowstwo i partykularyzm a stać na gruncie potrzeb *ogólno narodowych.* Poznać stan i potrzeby całego organizmu narodowego, budzić poczucie potrzeby łączności narodowej przedewszystkiem, a po za tem śmiało iść na drodze postępu równorzędnie wraz z całym Zachodem — oto przewodnie myśli.

Mamy nadzieję, że praca nasza znajdzie echo w społeczeństwie. Wierzymy, że skupi się w tej spólnej pracy całe stronnictwo tak samo myślących a dotychczas nieświadomie tułających się jednostek.

Program prac i zadań naszych rozwiniemy w piśmie niniejszem, dla którego prosimy o poparcie.

We Lwowie, w styczniu 1894.

Redakcya »Słowa Polskiego«.

NASZE DROGI.

Stanowisko ogólno polskie i postęp społeczny, przewodnie zasady naszego pisma, są jakby dwa promienie jednej i tej samej gwiazdy, prowadzącej nasz naród do lepszej przyszłości. Nie zawsze niestety prowadzi nas ta gwiazda; wielu pociąga oświetlenie jednego promienia, podczas gdy drugiego mniej dostrzegamy i mniej za nim postępujemy Są nawet tacy, którzy między niemi dopatrują przeciwieństwa nieprzejednane: dla jednych postęp społeczny burzy podstawy narodowe, dla drugich stanowisko narodowe zawiera w sobie skostniałość nie licującą z nim. A czyż można kochać swe społeczeństwo, nie życząc mu jak najlepszego rozwoju, w pierwszej mierze wyzwolenia od wrogich wpływów obcych? Bez odrodzenia zaś na drodze postępu społecznego nie podobna marzyć o lepszej doli dla naszego narodu. Przejęcie się tą myślą usunie istniejące gdzieniegdzie dziwaczne pojęcie o niezgodności postępu z patryotyczną ideą polską. Niezrozumienie tej łączności nie tylko odwróciło i odwraca od nas sympatye ludów obcych, lecz sprawia, że opinia publiczna własnego narodu zniechęca się do swych przedstawicieli, którzy zrozumienia tego nie okazują. Jakże bowiem z tego względu np. zapalać się do stanu wyjątkowego w Czechach, wymierzonego nie tyle przeciw Młodoczechom i prądowi moskalofilskiemu, ile przeciw młodemu stronnictwu radykalne-

mu? Jakże pochwalać przeszkodzenie reformie wyborczej lub nieszczere oświadczenie się za nią niby w zasadzie? Jak w tem upatrywać narodową tradycyę 3. maja i walki za „naszą i waszą wolność“?

Nieszczęśliwe położenie Ojczyzny naszej wytwarza u nas z konieczności kierunki myślenia i postępowania niezgodne z dobrem narodu. Partykularyzm i niezrozumienie potrzeb chwili bieżącej dla rozrastającego się i zmieniającego się przez to społeczeństwa naszego są w wielkiej mierze wynikiem tego położenia. Zboczenia te nie są zwalczane, lecz raczej pielęgnowane przez wrogów myśli polskiej. Myśl bowiem zapala do czynu i przeciw myśli naszej prowadzi się walka. Największe klęski sprawia narodowi nie strata zamęczonych i zrujnowanych jednostek, lecz to podstępnie obmyślane spaczenie ideałów narodowych. To spaczenie jest klęską właściwą, którą nam wrogowie usiłują zadać; nie łudzą się bowiem możnością fizycznego wytępienia kilkunastu milionów. Zwycięstwem dla wrogów a klęską dla nas bywa zacofanie w imię patryotyzmu i chwilowy postęp charakteru kosmopolitycznego. Nasuwa się wciąż konieczność podnoszenia i popierania spraw nowych, nieznanych dotąd lub zaniedbanych przez przedstawicieli naszej opinii publicznej. Upatrujemy wielkie niebezpieczeństwo w tem zaniedbaniu. Niezadowolenie mas bowiem rozsadzi lub rozluźni co najmniej karby społeczne z wielką szkodą dla narodu, skoro się one nie rozsuną i nie ułożą w formy, odpowiadające wewnętrznej zmianie wzrastającego i przeobrażającego się społeczeństwa naszego.

Co to jest postęp w obecnej chwili? Przed niedawnemi jeszcze czasy za postęp uważano oswobadzanie ludzkości od średniowiecznych pęt społecznych. Panował kierunek liberalny; słowo wolność czarowało ludzkość cywilizowaną do tego stopnia, że widziano rozwiązanie wszelkich zagadnień społecznych narodowych i ogólno ludzkich w przeprowadzeniu idei wolności.

W obecnych czasach odrzucamy przesady liberalizmu, a zachowujemy z niego tylko to, co on ma najcenniejszego t.j. poczucie osobistej wolności i równości; postępem zaś dla nas jest: hasło organizacyi społecznej. Siła tkwiąca w dobrowolnem stowarzyszaniu się, chroniąc jednostkę słabszą od jednostki mocniejszej, zwykle skłonnej do nadużycia swej przewagi, staje się najpewniejszą poręką wolności i równości. Zwłaszcza najbiedniejsze i najmniej oświecone masy ludności mogą polepszyć swą dolę i przyjść do zrozumienia swych praw i swego znaczenia niemal jedynie przez właściwe zorganizowanie się, czyli przez stowarzyszanie się i przez oświatę. A czemże jest właściwie oświata, jak nie stowarzyszaniem się duchowem z doświadczeniami ludzi żyjących i umarłych? Obowiązkiem inteligencyi naszej jest masom ludności pomagać do takiego zorganizowania się.

Wyraźne dążenie nasze do postępu zmuszać nas będzie niezawodnie do krytyki. Wszelako głównem staraniem naszem będzie popieranie spraw, które niedostatecznie lub wcale nie są podjęte. Usiłowanie takiej działalności organizacyjnej nie możliwe jest bez dotknięcia bolesnych ran społecznych. A czas spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy i dotknąć się śmiało miejsc bolących; inaczej dopuszczać się będziemy wciąż grzechu zaniedbania, który tylko do czasu ujdzie nam bezkarnie. Przerażają nas wypadki sycylijskie. A jakaż jest ich przyczyna? Czyż nie grzechy zaniedbania naprawy społecznej. „Opinione“ pisze o Sycylii: „Z jednej strony jest tam rozpacz i ślepa nienawiść wyzyskiwanego proletaryatu, z drugiej samolubstwo warstwy panującej“. Dopiero teraz na gwałt rząd włoski przyspiesza roboty publiczne, usuwa system zapłaty robotników w naturaliach, niesprawiedliwie obliczanych, zaprowadza kasy zapomogowe dla zwalczenia lichwy, ogranicza pracę dzieci w kopalniach siarki i t. d. U nas w Polsce w ogóle może tak źle nie jest w tej chwili, jak w Sycylii. Jednak w bardzo wielu miejscach nastręcza się porównanie, i do podobnych stosunków łatwo dojść może. Zaradzić temu może jedynie polepszenie istniejących stosunków przez energiczne zajęcie się temi sprawami ze strony społeczeństwa. Wprawdzie nigdzie nie rozporządzamy własną siłą państwową; jednakże czy to wpływem pewnym na tę władzę, pod którą się znajdujemy, czy też siłą instytucyi i jednostek zasłu-

żonych zrobiono już u nas cośkolwiek, a sto razy tyle należałoby i możnaby zrobić. Celem zwalczenia nędzy w naszych siołach i miastach, o której ludzie w dobrym bycie najczęściej pojęcia nie mają, spieszyć się musimy ze spełnieniem całego mnóstwa zadań społeczno-ekonomicznych. Nie da się zaprzeczyć, że Wydział krajowy w Galicyi wstąpił na drogę pożądaną; porobione są już właściwie kroki do podniesienia rolnictwa i przemysłu. Dziwić się wypada, jak znaczne wyniki osiągnięto stosunkowo bardzo marnemi środkami: jakieś kilka tysięcy złotych sprawia, że się stwarza sposób zarobkowania dla kilkuset rodzin Cóż dopiero byłyby za owoce, gdyby to ramię wykonawcze Sejmu galicyjskiego prawdziwie na wielką skalę i z całą umiejętnością działało w kierunku dalszego takiego, że się tak wyrazimy, ukrajowienia usiłowań ekonomicznych. Czekają zaś nasze społeczeństwo wszędzie w tym zakresie, nietylko w Galicyi, ogromne a wdzięczne zadania jak: melioracye rolne, rozwinięcie wielkiego przemysłu, dostarczenie masom w większej mierze niż dotąd taniego kredytu; parcelacya czyli kolonizacya wewnętrzna, jedynie tylko może w Poznańskiem należycie prowadzona; uregulowanie i uorganizowanie wychodztwa, utworzenie biur informacyjnych i giełd pracy na wzór anglosaski, celem zmniejszenia śmiertelności, chorób i powstrzymania emigracyi nędzarzy, których przygniata i z kraju wypędza mała i w kapryśny sposób nierówna wysokość płacy zarobkowej; uzyskanie nowych rynków zbytu dla naszych wyrobów i przyczynienie się przez to do podniesienia przemysłu krajowego, zawiązanie bezpośredniejszych stosunków handlowych w sprawie importu towarów koniecznych i t. d. Są to sprawy, naszem zdaniem, nie dość energicznie lub wcale nie podjęte.

W tych kwestyach ekonomiczno społecznych, nie mających wedle pewnej szkoły żadnego związku z sprawą narodową, my dopatrujemy łączność i z tego stanowiska będziemy je omawiali. Albowiem jesteśmy przekonani, że wzmaga się poczucie własnej wartości naszej, skoro żywiej odczuwamy, że gdzieindziej po za prowincyą naszą nie tylko wegetujemy, lecz żyjemy. Usiłowania w jednej części Polski czynione znajdują odgłos i poparcie w innych jej dzielnicach Podjęta w Prusiech Zachodnich sprawa Kółek włościańskich rozwinęła się na większą skalę w Poznańskiem, a na jeszcze większą rozwija się w Galicyi. I Zjazd Prawników i Ekonomistów polskich zgromadził tychże po raz pierwszy w pokaźniejszej liczbie w Krakowie: na nim to błysnęła myśl utworzenia Banku (ratunkowego) Ziemskiego w Poznaniu. Galicya w następstwie najwięcej się przyczyniła do utworzenia tej instytucyi pod zaborem pruskim. Przykładów takiego oddziaływania wzajem na siebie różnych dzielnic polskich znajdzie się więcej

Lecz czyż to jest dostateczne i czyż nie możnaby uczynić daleko więcej? W Sejmie Galicyjskim i w prasie omawianą jest np. sprawa nowej organizacyi gminnej; przytaczane są przykłady innych krajów koronnych austryackich i pozaaustryackich. Mało komu jednak przyszło zastanowić się nad istniejącą organizacyą gminną w sąsiedniej bratniej Kongresówce, a cóż dopiero wziąć pod rozwagę projekt Wielopolskiego!

Nie tylko jednak w sprawach ekonomiczno-społecznych powinniśmy się wzorować najpierw na tem, co ma najlepszego którakolwiek z dzielnic naszych, ale należy postawić sobie za główne zadanie, aby polityczna działalność nasza zawsze na widoku miała dobro całego narodu. Trzeba się starać, aby nasi mężowie zaufania — posłowie polscy, oraz wybitne jednostki, reprezentujące nasz naród tam, gdzie niema posłów ani wyborów, — byli w ciągłem porozumieniu, aby ujednostajnić naszą myśl polityczną, aby stworzyć ogólno polski program polityczny.

Ze stanowiska narodowego i postępowego wciąż wychodząc, będziemy też omawiali inne ważne, a może drażliwe sprawy, których wszystkich wymienić niepodobna, jak szlązka, mazurska i warmińska w Prusiech Wschodnich, robotnicza, ludowa, rusińska, żydowska i t. d. Co do dwu ostatnich to łatwo zgadnąć, że ze stronnictw, galicyjskich bratniego nam narodu najwięcej punktów stycznych dla patryoty polskiego upatrujemy z radykalnem, i że nie

czujemy sympatyi dla ruchu syońskiego czyli dla tworzenia i utrwalenia odrębnego społeczeństwa w społeczeństwie naszem.

Samo z siebie się rozumie, że z pod zaboru rosyjskiego, tej najważniejszej części naszej Ojczyzny, będziemy podawali fakta i wnioski w tym samym duchu. Naszem zdaniem, tam jest głowa i serce narodu, i o tem zawsze należy pamiętać i to zaznaczać.

Tak częste zaznaczanie przez nas stanowiska narodowego i postępowego jest wynikiem przekonania, że w obecnej dobie obcwiązkiem dobrego Polaka jest te dwa kierunki wytykać usilnie naszemu społeczeństwu. Ten obowiązek czujemy i my, a wywiązać się z niego należycie pragniemy tem usilniej, że widzimy wielkie niedogodności i niebezpieczeństwa w bierności i milczeniu pod tym względem.

Sł. Kłobukowski.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Chmury nad Europą. — Aljans francusko-rosyjski. — Anarchiści. — Los prowokatorów. — Sprawa Sycylijska. — Bankructwa państw. — Układy między Watykanem a Rosyą. — Biskup Tyraspolski. — Bądźmy spokojni...)

Pomimo setek milionów dodatkowych, ściągniętych ostatniemi czasy przez wszystkie rządy europejskie, nie wyłączając austro-węgierskiego, na uzbrojenie i powiększenie wojsk, na nowe prochy i dynamity, na pancerniki i krupowskie działa, — pomimo groźnych demonstracyj, Tulonów i Kronsztatów, wzajemnych wizyt panujących, wojennych przemówień, letnich i zimowych manewrów — chmura wisząca nad Europą i brzemienna ową dawno przepowiadaną „wielką wojną“ nie pękła jeszcze tej zimy i, prawdę mówiąc, wcale pękać nie chce. My się z tego powodu nie powinniśmy gniewać, bo owa „wielka wojna“, już opisana z góry w bardzo zajmujących powieściach, będzie się prowadziła na naszym karku i więcej nam wyrządzi szkód materyalnych, niż dziesięć powstań listopadowych i dwadzieścia styczniowych — dla bardzo wątpliwej korzyści: bo jedynym jej skutkiem byłby nowy rozbiór naszej, tak często już szarpanej Ojczyzny. Zresztą obawiać się nie potrzebujemy, bo nikt ani trójprzymierze, ani oportunistyczny „a l i a n s“ niby demokratycznej rzeczypospolitej z bardziej jeszcze d e m o k r a t y c z n y m carem, o takiej wojnie na prawdę nie myśli. Jedne mocarstwo boi się drugiego, targuje się o wzajemne ustępstwa, n. p. cłowe, jak teraz Niemcy z Rosyą, a taką nieufność opłacają narody miliardami. Za to wydatki na militaryzm i wynikające z niego długi, gromadzą nad społeczeństwami Europy inną chmurę, a burza, któraby stąd powstała, może doprowadzić do daleko więcej stanowczych i niespodziewanych rezultatów, niż jakakolwiek wojna. Ludy płacą, ale bez końca płacić nie mogą, bo co idzie na proch odejmuje się od chleba, a głód nie należy do zjawisk uspasabiających do „lojalności“. W ostatnich dniach przeszłego roku nie brakło przestróg, wykazujących rządom, że tak dalej gospodarować nie można. Anarchistyczne bomby w Paryżu — i gdzieindziej — chłopskie noże i kule w Sycylii, należą do takich przestróg, i dla tego rok nowy, stuletnia rocznica Racławic, oraz jakobińskich rządów we Francyi, zaczął się od powszechnej obławy na anarchistów i od stanów wyjątkowych — nie tylko w Pradze. Wybryki anarchistów, wstrętne co do formy, błędne co do zasad, bo ci oślepieni i wściekli ludzie rzucają się z dynamitem na jakieś nieistniejące widmo, „społeczeństwo“, a trafiają w takich, jak oni sami, ciemiężonych i wyzyskiwanych, mogą tylko pomódz sprawie tych, których oni chcą obalić. Pomimo rzeczywistego przestrachu rządy biorą się z przyjemnością do wspólnej krucyaty przeciw warchołom; bo pod pozorem anarchii można się będzie w niejednem miejscu pozbyć niebezpiecznych, acz w gruncie najbardziej zachowawczych żywiołów, żądających jedynie wskrzeszenia tego co b y ł o, a legalnie n i e j e s t. Że się nie bardzo takich wybryków boją, a z nich korzystać umieją, dowodzą rozmaici prowokatorowie, którym jednak, jak Mrwie w Pradze, nie zawsze uchodzi na sucho.

Ale Sycylijskie powstanie należy do zupełnie innych objawów i rząd włoski zaczyna myśleć o zabastowaniu w grze militarnej międzynarodowej, bo innego ratunku dla niego niema. Chłop włoski tyle zjada we trzech, co jeden nasz galicyjski

w pojedynkę — a wiadomo, że strawa Maćka czy Hryćka, nie należy do wspaniałych — ale nawet Sycylijczyk zerem kontentować się nie może i żadne pełnomocnictwa nadane przez byłego radykała ministra Crispiego, generałowi Morra żadne stany oblężenia tego „istniejącego faktu“ przerobić nie zdołają. Chociaż organy włoskiego mieszczaństwa szukają przyczyn buntu nawet we francuzkich intrygach (!), rządzące klasy muszą się wkrótce przekonać, że te przyczyny nie ustaną, póki rządy nie użyją stanowczych środków, mianowicie rozbrojenia ogólnego i jak największego zmniejszenia podatków — chyba zechcą wylikwidować sytuacyę, jak Grecya, kosztem wierzycieli swoich, po prostu mówiąc, bankructwem.

Są jednak dyplomaci, którzy na te rozmaite chmury zważać nie chcą, a trzymają się zasad i sposobów używanych w XIII. wieku. Do takich należą kardynałowie Zdaje im się, że prostem porozumieniem między zarządem kościoła katolickiego a papieżem cerkwi kafolickiej — teraz przezwanej prawosławną — można zmazać wiekowe krzywdy, posłać ad akta całe narodowości i dojść do najśliczniejszej zgody między tymi, którym na tem zależy. Naród polski dawno spogląda z trwogą i oburzeniem na takie konszachty, bo jak wielka wojna, tak porozumienie się kościołów rozstrzygnie się z naszą krzywdą: płacić będziemy my, Polacy, nie ktoś inny. W ostatnich dniach zjawiła się aż w *New Jork Herald'zie* korespondencya z Rzymu, opiewająca, że Leon XIII. miał niby wystosować do cara grzmiącą protestacyę z powodu moskiewskich prześladowań, że biskup Tyraspolski (Saratowski), umyślnie został wysłany z Rosyi do Rzymu, by zażegnać tę klerykalną burzę. Pierwotna zaś wiadomość była, że ten sam biskup jedynie dla tego pojechał, by zapieczętować ostateczne porozumienie się cara z Watykanem, dawno przygotowane przez rosyjskiego rezydenta w Rzymie, Izwolskiego. Zdaje się nam, że ta, wyrażając się po galicyjsku, „senzacyjna“, korespondendencya została jedynie wywołaną przez żmudzką katolicką krew, przelaną w Krożach, bo kto ma pojęcie o teraźniejszym kierunku w Petersburgu, wie, że żadnej papiezkiej protestacyi rząd moskiewski by nie przyjął, że byłaby ona powodem do natychmiastowego zerwania stosunków, jak za Piusa IX. Trzeba uspokoić polskich katolików, i dla tego wymyślono taki wybieg. Papież nie protestował, nie protestuje i protestować nie będzie, bo że Watykański więzień nie może poświęcić, Polsce gwoli, przyjaźni Francyi i Rosyi — tego możemy być pewni.

SPRAWY POLSKIE.

OTWARCIE SEJMU.

Lwów, 10. stycznia 1894.

Pałac sejmowy otworzył swe podwoje dla reprezentantów kraju. Dziwne uczucie budzi się w duszy. Na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej jest jeszcze zakątek, gdzie zebrał się jedyny sejm polski, aby radzić nad dolą jednego odłamu naszej Ojczyzny. Polska i ruska mowa tylko rozlega się po sali i przedsionkach i gdyby nie parę mundurów i fraków, możnaby zapomnieć o teraźniejszości i myśleć, że to przeszłość....

Nie, zaiste trudno w tej chwili oprzeć się pewnemu rozrzewnieniu, trudno także ostrym skalpelem krytyki rozcinać wszystkie złote myśli i nadzieje. Wszak to istotnie jedyny wolny sejm polski na naszej ziemi, wszak już o dziesięć mil stąd niewola, pęta i bezustanna walka o mowę, religię, ludzkie prawa a nawet o myśl swobodną — a tu przecież grono wybrańców, swoich, najlepszych, którzy chyba nie zapomnieli, że są synami tej ziemi niegdyś wolnej i pewnie szczerze jej dobra pragną!

A więc zapomnijmy o różnicy przekonań naszych, zapomnijmy o żalach za nadzieje może nieraz zawiedzione, miejmy nadzieję i nią teraz żyjmy!....

Stuknęła laska marszałkowska. Już posiedzenie zaczęte. Poważny głos potomka karmazynów nie rozbrzmiewa zrazu wesołem echem. Rok klęski, rok nieurodzaju przygniótł kraj potężnie. Trzeba było klęsce zaradzać doraźnie a dzisiaj jeszcze

i kraj i państwo musi pomyśleć nad tem, aby zapobiedz skutkom klęski nadal i umożliwić prawidłowy bieg gospodarki krajowej. Na szczęście — tu głos marszałka ożywia się odbłyskiem nadziei – praca reprezentacyi sejmowej na polu ekonomicznem niedawno podjęta była rozumną i wydaje dobre owoce. Finanse uporządkowane, skromne wkłady rozpoczęte, regulacye wód i melioracye przy należytej gospodarce pomogą do dźwignięcia kraju z klęsk i ułatwią dalszy rozwój ekonomiczny. Wystawa zaś krajowa, ten egzamin z dotychczasowej pracy będzie „bodźcem, który nas popchnie na drodze zdrowego postępu, stworzy nowe źródła produkcyi, wskaże korzystniejsze drogi zbytu i przyczyni się do utrwalenia wiary w siebie".

Razem z marszałkiem ożywiamy się, widzimy w myśli kwitnącą Galicyę, azyl dla myśli i pracy narodowej, i z pobłażaniem pomijamy przydługą wycieczkę na pole wielkiej, dla nas niezrozumiałej polityki....

Niech tylko tamte nadzieje marszałka się spełnią!

Ale trzeba znów skupić uwagę. Powstał bowiem przedstawiciel rządu a jego energiczne słowa przypominają nam, gdzie jesteśmy. To mówi ten, który ma władzę. Jak ją czuć w każdem słowie, spojrzeniu, ruchach. Dziwi nas nawet, że raczy usprawiedliwiać późniejsze zwołanie sejmu i że tłumaczy się z konieczności wprowadzenia policyi państwowej w Przemyślu. Te drobnostki, może nawet nie warte wzmianki — wszak to on rozstrzyga nie my....

Lecz mowa idzie dalej wartkim pędem, a trzeba przyznać jej świadomość rzeczy, męską energię, Może za wiele pochwał dla administracyi rządowej i za wiele chluby z owoców działalności. Administracya teraz niewątpliwie energiczna, lecz gdyby w bilansie na drugą szalę położyć wszystkie zaległe passiva, wyssany dawniej kraj, zaniedbanie i cały szereg niewykonanych obowiązków, jakby ten bilans wyglądał?

Uznajmy jednak co zrobione. Lecz po co ta obrona władz skarbowych? Podatki ściągać należy, to prawda niewątpliwa, lecz po za tem należałoby pomyśleć o tem i odpowiedzieć na pytanie, czy administracya powinna iść tylko w kierunku zabójczego systemu fiskalnego, gniotącego wszystkich i wszystko, jak okropna zmora, czy powinna stwarzać taką atmosferę, w której każda jednostka na samą myśl o władzy skarbowej dostaje skurczów całego ciała, chroniącego się przed śmierciononśnym ciosem, czy wreszcie rozumna polityka podatkowa każe je ściągać zawsze i wszędzie bez względu na siłę podatkową i przyszłość płacącego, choćby ta bezwzględna energia stan ekonomiczny jednostek i kraju całego podkopać i przygnieść miała?

Nie tu miejsce do rozpraw nad tym tematem, ale zaznaczyć musimy, że energiczna w tonie i słowach, chociaż oparta na ogólnikach obrona administracyi skarbowej, była najmniej udałym momentem mowy namiestnika i ani przekonać nikogo, ani obronić przestarzałego systemu nie zdołała.

Był jednak inny moment, który złagodził nieco ostre tony poprzednie. Słowa obywatela, który na swem nieodpowiedzialnem w obec kraju stanowisku poczuwa się do obowiązku „odpowiadania przed Sejmem krajowym za wszystko, co zdziałał, zdziałać może, lub czego spełnić nie potrafi" – słowa takie zasługują na uznanie.

I znowu zapomnijmy o krytyce a miejmy nadzieję, że ten przedstawiciel rządu a zarazem syn tego kraju o swych słowach, w uroczystej chwili wyrzeczonych, nie zapomni....

Posiedzenie skończone. Opuszczamy wspaniały gmach sejmowy. Dawne wspomnienia, nowe nadzieje, zlewają się w jedną całość. Czy też reprezentaci narodu myślą o tem i czy pamiętać będą, że zasiadają na ławach jedynego na obszarze Polski sejmu polskiego, czy czują to, że po za kordonami nie jedno ucho łowi słabiutkie echa z tej sali sejmowej wychodzące i że to, co tu się robi, odbija się na przyszłości całego narodu?

Myśleć o tem powinni. Czy pamiętać będą? zobaczymy, gdy na stół obrad przyjdą takie sprawy jak organizacya gminna, reforma ordynacyi wyborczej, pomnożenie liczby posłów z miast, zmiana ustawy drogowej i wiele, wiele innych...

Dr. Aleksander Lisiewicz.

Z POD ZABORU PRUSKIEGO.

Z obrachunków noworocznych. — Bilans i koncert nowego kursu. Język polski w szkołach ludowych.— Inspektor Schwalbe i jego najnowszy „ukaz". — Uciski i uściski naszych przyjaciół. — Z głosów prasy niemieckiej. — Czarna i złota księga szlachty wielkopolskiej.

Z ostro zaciętą kredką w ręku należałoby przedewszystkiem dzielnicom polskim pod zaborem pruskim przejść zmianę kalendarzową, zamykając *saldo* z ubiegłego roku. Nie wiemy tylko, o ile wielcy nasi politycy z parlamentarnej areny, znają użyteczność tego przyboru, który najdrobniejszy kramarz posiada i zacina go choćby raz koło Nowego Roku, pragnąć się dowiedzieć, jaki interes zrobił na swojej małej polityce, sprzedając n. p. mydło lub zapałki. A czemże innem są ci panowie, którzy z wielkiego sklepu krajowego, wydają państwu przez cały rok, po największej części na kredkę; coraz więcej butów i karabinów dla wojska; nowych podatków, ceł, monopoli itp. *articles en gros.* Czyż nie są to hurtowni dostawcy? ludzie prawie bez wyjątku piśmienni, obznajomieni choćby do tyle z matematyką, że mogą łatwo obliczyć: co dali, a co wzięli, o ile w rzeczywistości okazali się „złotoustymi" dla kraju.

Wyobrażamy sobie, że ani p. Kościelski w Karczynie, ani p. Szczepanowski w Peczeniżynie, nie spędzili nocy Sylwestrowej przy pączu, ale w tem pitagoresowem skupieniu ducha, o tyle mniej szczęśliwsi od starożytnego mędrca, że tych obrachunków nie przyszło im wypisywać na piasku... ale dajmy na to, pierwszemu, choćby na okładce własnych utworów dramatycznych, a drugiemu, na marginesach „Nędzy Galicyi".

Poseł inowrocławski w dramatycznem znalazłby się wówczas położeniu, gdyby mu przyszło pod świeżo zaprotokołowaną firmą: n o w e g o k u r s u, gotówkę w kasie narodowej obliczyć. Portfel wekslowy byłby pełny. Z dawnych należytości znalazłyby się nie umorzone kwity: z okazyi powiększenia listy cywilnej, wydatków na marynarkę, z bieżącej chwili: nowa ustawa wojskowa, traktaty cłowe itd. A w zamian zapytamy, jakie zdobycze? Z dawniejszych remanentów pozostałoby coś jeszcze z wielkiej uciechy uzyskania polskiego arcybiskupa, z pozwolenia nauczania dzieci po polsku... za własne pieniądze, a w końcu z przyznania proboszczom przewodnictwa w dozorach kościelnych. Toby był cały dorobek od lat kilku! Wszystkie ustępstwa dla ludności polskiej pod zaborem pruskim, redukują się jak dotąd jedynie tylko do tych trzech punktów. Dr. Adam Żółtowski w odpowiedzi na zjadliwy artykuł p Hansemana p. t. „Handelsvertrags- und Polenpolitik", zamieszczony w 46. Nrze. „Deutsches Wochenblatt", w 48. Nrze tegoż czasopisma, do poprzednio wyliczonych przez nas zdobyczy, dodaje tylko jeszcze jedną, a mianowicie: order uzyskany przez posła (Kościelskiego). „To są bowiem wszystkie ustępstwa nowego kursu wobec Polaków" — pisze autor, bynajmniej nie należący do stronnictwa „Orędownika", lub „Postępu".

Dotychczasowe zatem stanowisko polskie w Prusach w obec rządu, przyszłoby nam określić, jeśli nie mianem hazardowej gry, to w każdym razie jednym szeregiem wielkich ofiar, zaparcia się i tej cierpliwości, na jaką zdobyć się mogą tylko struny, napięte przez system bismarkowski do ostatecznych granic, a teraz wydobywające ze siebie ciche głosy tej nadziei, że po skończonym koncercie ręka mistrza rozluźni je, jeżli przypadkiem nie zapomni tego uczynić, kładąc skrzypce na boku, a przychód z koncertu, chowając do kieszeni. Wysoki ton tych nadziei podniósł się w ostatnich czasach pod wpływem alarmu, jaki narobiła prasa niemiecka, począwszy od „Kreuz-Zeitung", a skończywszy na „Germanii", wydając ze siebie ryk boleści na samą wiadomość, jakoby ministeryum pruskie zdecydowało się już na zaprowadzenie języka polskiego w szkołach, Nawet termin wprowadzenia tej zmiany oznaczano po „Wielkiej Nocy", i zaczęto już obliczać godziny wykładowe. Wreszcie hr. Kanitz na jednej sesyi parlamentarnej oświadczył, że kwestya wprowadzenia języka polskiego jest już zdecydowaną, a o uchwale ministeryalnej powiadomiony już został arcybiskup gnieźnieńsko-poznański.

Niedługo przecież trwało to rozczarowanie, najprzód ukrócano powoli liczbę godzin wykładowych z początkowych pięciu na dwie, na jedną; zakreślano coraz ściślej-

szą granicę terytoryalną nowym okręgom szkolnym, a jednocześnie „Wielkanoc“ zdawała się być coraz dalszą i dłuższą. Wreszcie w dzień św. Łazarza społeczeństwo polskie miało sposobność wyczytać w katolickiej Germanii następujące oświadczenie swojego arcypasterza: „Wobec twierdzenia hrabiego Kanitza na wczorajszem posiedzeniu parlamentu, o którem donosi dzisiejszy numer Pańskiego pisma mogę oświadczyć, że pan kanclerz ani urzędowo, ani poufnie nie przesłał mi zawiadomienia o uchwale ministeryalnej, dotyczącej nauki języka polskiego w szkołach ludowych moich dyecezyi. Zawiadomienie takie powitałbym z pewnością z wdzięcznością, ponieważ przez to ukształtowałaby się nauka religii pomyślnie i stałe wychowanie religijne młodzieży doznałoby poparcia, co jest celem i pragnieniem, które nietylko mnie samemu, jako biskupowi, powinno leżeć na sercu“ Przyznajemy, że oświadczenie to dziwnie przygnębiające zrobiło na nas wrażenie. Jakkolwiek dalecy jesteśmy od tego, aby mieć jakiekolwiek powątpiewanie o istotnych uczuciach narodowych ks. arcybiskupa Stablewskiego, którego i dawna przeszłość parlamentarna i dzisiejsze wysokie stanowisko a bynajmniej nie wyłącznie tylko duchowne, nie uprawniają do sformułowania krzywdzących zarzutów; to jednak właśnie dla tego, przywiązując znaczenie do słów, jakie ztąd wychodzą, ważyć je musimy na czulszej wadze, niż je posiada niemiecka Germania w swoim sklepiku. Dla niej może wystarczyć, jedyne zaakcentowanie celów i pragnień religijnych katolickiego biskupa, ale dla narodowości polskiej, w tak ważnej i żywotnej sprawie, gdzie skupiają się wszystkie ośrodki nerwowe jej pomyślniejszego rozwoju na przyszłość, powinna ta ludność w każdej enuncyacyi, wychodzącej z pod starej katedry gnieźnieńskiej odczuwać i przypominać sobie dawną, wszechstronną pieczę prymasów, jaką tu znachodziła w czasie bezkrólewia.

Mówiąc o szkolnictwie, należałoby jeszcze to zauważyć, że jakiekolwiek byłyby jego losy w przyszłości, dzisiaj stoi ono na tym samym stopniu aspiracyi germanistycznych, jak wówczas, kiedy je wypuszczał z pod swojego ramienia opiekuńczego ks. Bismarck. Te same mury pruskie zostały w budynkach szkolnych, ten sam plan naukowy i ci sami ludzie na czele ich stoją, do których bynajmniej nie doleciały, choćby echa tylko ugodowej polityki nowego kursu. Inspektorowi poznańskiemu p. Schwalbemu najzupełniej zdają się być obce intencye teraźniejszego rządu, względem rzekomo nastąpić mającej organizacyi szkolnictwa ludowego w prowincyach polskich. Jeżeliby bowiem rząd nosił się w rzeczywistości szczerze z takimi zamiarami, przypuszczać by należało, że już dzisiaj jego organa wykonawcze, całem swojem postępowaniem torowałyby drogę przyszłej reformie, unikając przynajmniej wszystkiego, co drażni i jątrzy najistotniejsze uczucia narodowe polskiej ludności. Takiego zaś stanu przejściowego, który jak czuły barometr, wskazywaćby już powinien na mającą nastąpić wkrótce zmianę atmosferyczną, dotąd najzupełniej nie widać. Pan Schwalbe czem był, pozostał — „kuratorem“ okręgu poznańskiego i czarnym plantatorem, zakładającym w każdej szkole poznańskiej jaskółcze gniazda germanizmu. Jak dawniej, tak aż do ostatniej chwili wytrawny pedagog pruski, najwięcej czasu poświęca swemu ulubionemu przedmiotowi, w którym okazał się specyalistą, a mianowicie tej osławionej jego, że się tak wyrazimy, kolonizacyi szkolnej, zasadzającej się na tem, że dzieci polskie, którem nieszczęście dało nazywać się więcej z niemiecka, pomimo protestów ze strony rodziców i oburzenia całego społeczeństwa poznańskiego, ośmiela się je dowolnie przenosić do niemieckich oddziałów i wpisywać do tejże narodowości. Za daleko to już idąca zasada, pozwalająca sobie klasyfikować czyjeś pochodzenie, jedynie na podstawie brzmienia jego nazwiska. Jeżeli bowiem zapalony germanizator oparł swój system, przyjmując te znamiona do klasyfikacyi narodowościowej, to łatwo mógłby się znaleść drugi niemniej gorliwy, pedagog-naturalista, a w takim wypadku ciekawibyśmy byli wiedzieć, do jakiego oddziału zaliczyłby n. p. dzieci p. inspektora Schwalbego?

Najnowszy „ukaz“ inspektora poznańskiego, jaki wydał do podwładnych mu zarządów podaje „*Schles. Ztg.*“. Odnosi się

on do urzędowej nazwy uczniów i oddziałów, pod względem różnic wyznaniowo narodowych. W dotychczasowej praktyce szkolnej wyróżniano katolickich uczniów jako: „*deutsch katholisch*“ i „*polnisch katholisch*“, obecnie zaś nakazuje p. inspektor przyjąć definicyę: „*deutsche Katholiken*“ i „*polnische Katholiken*“, a wyznanie i narodowość dzieci w szkołach nie ma być już odtąd sygnowane literami: „*dk*“ i „*pk*“, ale „*kd*“ i „*kp*“*!* Przyznajemy się, że albo nie stać nas na zrozumienie takich wyskoków wyższej kultury, albo też, co prawdopodobniejsza, nie posiadamy tylko klucza, do tej szyfrowanej zagadki; cokolwiek jednak ona w sobie mieści, możemy być pewni, że nicuje polską skórę. To też „*Schles. Ztg.*“ uzasadnia powyższe rozporządzenie, potrzebą ochrony niemczyzny w tych stronach, gdzie zazwyczaj pojęcie katolicyzmu bywa identyfikowane z pojęciem polskości. Natomiast „*Pos. Tageblatt*“, dopatruje się w tem tylko niewinnego wyjaśnienia, zdąrzającego jedynie do tego, aby zapobiedz mylnym przypuszczeniom, jakoby w tym wypadku o dwa różne wyznania chodziło: niemiecko- i polsko-katolickie, tak jak jest rzymsko- i grecko-katolickie. Tak czy siak, byłaby to kiepska obrona, jeśli potrzebna, i czczy purytanizm, jeśli ztąd ma być zaczęty.

Tymczasem ostatnia statystyka szkolna wykazała, że w r. 1893. uczęszczało do szkół ludowych w rej poznańskiej, ogółem 200.207 dzieci, w tej liczbie było 150.018 katolickich, 47.133 ewangielickich a 3.019 żydowskich dzieci; personal zaś nauczycielski składał się z 2.453 posad. Stosunek wyznaniowy nauczycieli do uczniów był tego rodzaju, że gdy na 1 nauczyciela ewangielickiego przypadało tylko 53 dzieci, na żydowskiego 55, to na katolickiego dwa razy tyle, bo 102. Czyby powyższe anormalne stosunki nie wymagały baczniejszej uwagi ze strony p. inspektora poznańskiego, niż dziecinna zabawka z przestawianiem liter „*pk*“ na „*kp*“?

Przecież bądźmy sprawiedliwi. Mówimy ciągle o pokrzywdzeniu ludności polskiej pod zaborem pruskim, wspominamy, że tego i owego nam brakuje, a przecież na brak przyjaciół skarzyć się nie możemy, bo tych, co o nas myślą, troszczą się, opiekują, tych mamy więcej — coraz to więcej. Oddawna nie pamiętamy, aby Niemcy mieli kiedy takiego benjaminka, którego losem tak by się opiekowano, jak obecnie „sprawą polską“. Płaczącego malca, któremu jeść nie dano od rana, głaszczą na dworze berlińskim cukierkami obietnic, katolickie Centrum prawi mu ciągle o przyszłem szczęściu tych, którzy tu giną z głodu, wolnomyślni zalecają powściągliwość, junkry grożą rózgami. Jesteśmy w uciskach i w uściskach przyjaciół... W parlamencie, w prasie, na zjazdach i zebraniach, sprawa polska nie schodzi ze stołu umizgów i złorzeczeń. Nawet w zacisznej pustelni w Friedrichsruh, jeżli stary lew teutoński zmarszczy brwi i potrząśnie grzywą, to możemy być pewni, że mu we śnie stanął ów malec, uczący się z elementarza polskiego, i twardym brzmieniem polskich wyrazów spowodował ten skurcz na jego grzbiecie. Po każdem takiem widzeniu, telegramy donoszą, o groźnym stanie nerwowym u b. kanclerza, a ulubiony brytan jego „*Hamb. Nachrichten*“ zaczynają wyć na alarm, jak do księżyca.

W ostatnich czasach po występach wokalnych tego rodzaju, pojawiających się stale w „*Kreuz Ztg.*“ *Deutsche Wochenblatt*“, „*Schles Ztg.*“, „*Pos. Tageblatt*“, „*Gesellige*“ itd. przystąpił i berliński „*Tageblatt*“ do towarzystwa naszych najserdeczniejszych. Musimy jednak przyznać, że ostatni głos, jakkolwiek równie nieprzyjazny dla nas, różni się od poprzednich spokojem i poważniejszem traktowaniem rzeczy, ale przez to samo jest dla nas szkodliwszy. Zwłaszcza ten ustęp, gdzie autor przychodzi do konkluzyi, poprzednio omówiwszy politykę niemiecką w obec Polaków w jej historycznym przebiegu, zdaje się być pociskiem rzuconym przeciwko nam z nowego kalibru lanych argumentów. Autor pisze: „Podział Polski jest historycznym faktem, o uprawnienie którego nikt już moralizujących refleksyi nie głosi. Nie ma już państwa polskiego i nie ma już cząstek dawnego państwa polskiego. Jest tylko po polsku mówiąca ludność w państwie niemieckiem, w Austryi i Rosyi — a ludność ta w trzech państwach powyższych winna być odpo-

wiednio do natury społeczeństw tych traktowaną. Nam nie rozstrzygać, jak rosyjska lub austryacka polityka w obec Polaków rządzić się powinna — dla nas tylko niemiecka polityka wobec Polaków żywy interes przedstawia naszej polityce wobec Polaków brak przedewszystkiem konsekwencyi i tu powinna jak najprędzej zmiana nastąpić". Bardzo pięknie! szkoda tylko, że nam autor nie określił bliżej „natury społeczeństwa pruskiego" odpowiednio do której mamy być traktowani. Czy przypadkiem natura ta, nie wypadłaby wówczas w stylu „*Hamb. Nachr.*" lub może według kroju b. posła Wehra?

Ale oprócz zjadliwych głosów, które nie idą w niebiosy, mamy do zanotowania i te wydobywające się z wnętrza polskiej ziemi, z chwilą, gdy ją już obcy pług ma przeorywać. A tych kawałków mamy coraz więcej. — Świeżo, bo z początkiem Nowego Roku wjechały pługi kolonizacyjne na nowych kilkanaście tysięcy morgów polskiej ziemi w Poznańskiem. Fakt ten tem boleśniej musiał dotknąć każdego Polaka, o ile w ciągu zeszłego roku, zaczęto się już u nas łudzić nadzieją, że własność ziemską przynajmniej w teraźniejszym stanie zdołamy utrzymać w swoich rękach. Przez cały rok 1893. prawie, że nie było do zanotowania nowego wypadku, frymarczenia polską ziemią, aż dopiero pod koniec roku, pierwszy p. Stablewski sprzedając 5.000 morgów Niemcowi, przypomniał nam, że lekkomyślnem jest budować nadzieje... na lekkomyślności czyjejś. Za właścicielem Linii poszedł właściciel pogrzybowskiego klucza p. Niemojewski, paprosząc nawet Stare i Nowe Jelita polskie dla komisyi kolonizacyjnej. Tym sposobem 11.000 morgów w pow. odolano»skim przeszło w ręce niemieckie za 1,670.000 marek. Nic by nas nie obchodziło lekkie westchnienie właściciela Pogrzybowa: że to już „nie moje", gdyby nam ciężej dodać nie przyszło: „i nie nasze!" Jednocześnie komisya kolonizacyjna zakupiła w inowrocławskiem dobra Radojewice (3.520 morg) i w pleszewskiem Strzydlew (1.140 morg), oba ostatnie majątki co prawda od właścicieli Niemców, hr Solms i Henryka Buttla. Ciekawa rzecz, czy tylko te najnowsze operacye finansowe komisyi kolonizacyjnej odbywały się już według nowego kursu? Bo tyle chyba byłoby dla nas pociechy.

Tymczasem p. Teodor Żychliński nie ma nic lepszego jak wydawać dalej swoją „Złotą Księgę" szlachty wielkopolskiej, w której mieszczą się jeszcze i dwa poprzednie nazwiska wymazane już i z arkuszy gruntowych. W tym stanie rzeczy, szeregi ustępujące z placu, na tyle przynajmniej powinny się zdobyć patryotyzmu i koniecznej przezorności, aby mimo uszu nie puszczały głosów tych warstw, które coraz energiczniej dopominają się o to, aby mogły skuteczniej pracować dla sprawy narodowej. Zasadę od nich przyjąć szczerze by należało, a nie z taktyką ich bez ustannie walczyć i krucyaty urządzać, wśród których i tak krzyżownicy giną i to od zarazy gnieżdżącej się we własnym obozie. *Orlica.*

Z POD ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa.

Od czasu powstania 63 r. i osoba panującego i system rządzenia zmieniły się w Petersburgu, ale w Warszawie, Wilnie, Żytomierzu, Kamieńcu Podolskim i Kijowie — jeden system trwa bez przerwy. Zgnieść, zdławić polskość w przyłączonych do cesarstwa województwach Rzeczypospolitej Polskiej, zruszczyć a raczej zmoskalić Białorusinów i Rusinów, skrępować działalność kleru katolickiego na Litwie, nie pozwolić ziemiaństwu polskiemu zwiększać swych obszarów — o to system trwający od Murawjewa i Bezaka. W Królestwie Polskiem „sławni działacze" Milutin i Czerkaskij zapoczątkowali system „objedinienia" gubernii Kongresówki z Cesarstwem t. j. zmodyfikowania instytucyi polskich — na sposób rosyjski, z wprowadzeniem języka moskiewskiego i coraz większej liczby prawosławnych czynowników. Z wielką wytrwałością, z systematycznością niemal niemiecką (należy zaznaczyć, że pierwszymi wykonawcami nowego systemu byli niemcy: namiestnik hr. Berg i kurator okręgu naukowego Witte) wprowadzono t. z. reorganizacye: najwpierw w administracyi i skarbowości, następnie w szkolnictwie (lata 68—70 i 73) i sądownictwie (74 r.), wreszcie zagrabiono Bank Polski.

Z zaprowadzeniem powszechnej służby wojskowej i znacznem zwiększeniem armii na na stopie wojennej — z zalaniem Królestwa Polskiego trzykroć stutysięcznym wojskiem, po-

chodzącym z głębi Rosyi, z coraz więcej wzmagającym się ilościowo „czynowniczestwom“ — rząd petersburski poczuł, że stoi na mocnych nogach, tembardziej, że ludność cała zachowywała się niemal biernie. Nie było od 63 r. wyraźnego, zorganizowanego przeciwdziałania najazdowi: bo kiedy Unici mężnie stawiali czoło, kraj cały był w uśpieniu; kiedy młodzież tworzyła organizacyę polityczną (proces Adama Szymańskiego i towarzyszy w r. 78 i 79) — nikt im nie podał ręki; kiedy pod wpływem wzmagającego się ruchu socyalistycznego w zachodniej Europie i rewolucyjnych ruchów w Rosyi, młodzież stanęła w obronie ludu roboczego i wypisała nie nowe, lecz te same hasła, które głosiło Tow. Demokratyczne, jedynie tylko zabarwione nowemi zdobyczami nauki, złączonemi z głośnemi nazwiskami Engelsa i Marx'a, ówcześni demokraci i ludowcy starego pokroju nie odczuli porywów młodzieży, ulękli się zbyt radykalnych i rewolucyjnych haseł, a tym samem pozwolili tej najczynniejszej cząstce narodu zejść na manowce kosmopolityzmu. Działalność tej młodzieży zostawiła jednak po sobie niezatarte ślady. Mimo że ruch robotniczy w Królestwie, wszczęty w r. 78, został powstrzymanym przez represalia, których epilogiem było powieszenie na stokach cytadeli Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego (w styczniu 85 r.), jednakże świadomość klasowych interesów wśród robotników wzrosła, łączność się wzmogła — i dziś warstwa ta jest z małymi wyjątkami uświadomiona pod względem narodowym i społeczno-politycznym.

Tak więc w ruchach politycznych, w objawach odporności w Kongresówce dotąd nie było ani ciągłości, ani zgodnego jednolitego wystąpienia, rząd więc moskiewski dławił z łatwością porywających się do czynu i dalej prowadził swą systematyczną działalność, niwelującą różnice w stosunkach administracyjno-państwowych między Cesarstwem a Królestwem Polskiem, któremu państwa europejskie ongiś gwarantowały prawa autonomiczne, a i dziś nie utożsamiają go na równi z innemi przyłączonemi do Rosyi krajami.

Moskwa, nie mając przeszkód ze strony obcych mocarstw (z wyjątkiem sprawy przyłączenia części gub. lubelskiej i siedleckiej do Wołynia — t. j. rozczłąkowania Królestwa kongresowego), czując się wciąż na silniejszych podstawach w Polsce po raz trzeci zwyciężonej, poczyna za panowania Aleksandra III. myśleć o zagładzie polskości, o zupełnem „objedinieniu“ Królestwa Polskiego z Cesarstwem — o wytworzeniu w „Priwiślińskom kraje russkich katoliczeskawo wieroispowiedanija“ (rosyan katolickiej religii). Konsekwentne to przeprowadzanie systemu Milutina i Czerkawskiego. System więc rządzenia jest jeden i ten sam ciągle, tylko brutalność i energia w wykonywaniu raz bywa większa, to znów nieco uśpiona, gdyż zależy to od osób i od chwili. Ale objawy brutalności, kiedy należało coś przyprowadzić do skutku, i za „liberalnego“ Aleksandra II. były podobne, z jakiemi się dziś spotykamy. Przed 20-stu laty w Pratuline i innych miejscach Podlasia tak samo krew płynęła jak w Krożach ubiegłego roku.

Raz tylko od r. 63 pofolgowano, mianowicie pod koniec panowania Aleksandra II., kiedy rewolucya rosyjska dosięgła zenitu. Wtedy pozwolono nawet w Wilnie założyć księgarnię polską, która rozwinęła niebywałą działalność, trwającą niestety nader krótko. W Warszawie obiecano utworzyć katedrę języka polskiego i miano zamianować p. Chmielowskiego profesorem - nie przyszło to jednak do skutku.

Kiedy po zamordowaniu cara, fala reakcyi zalała Rosyę, system rządzenia w Kongresówce znalazł silnych popleczników w Petersburgu. Wielkorządca Hurko z „wrodzoną moskiewskiemu sołdatowi g u m a n o s t j'u“ (humanitaryzmem) pełni rozkazy, słane ze stolicy caratu. Ucisk się wzmaga, a „carosławije“ t. j. prawosławie kwitnie, cerkwie rosną jak grzyby. Piśmiennictwu stawiane są niebywałe przeszkody cenzura staje się podobną do tej, jaka była za Mikołajowskich czasów.

Następuje zaprowadzenie moskiewskiego języka na kolejach żelaznych i pamiętne rugi Polaków urzędników kolejowych. Rozpanoszenie „czynowników“ i armii jest takie, jakie można spotykać w kraju tylko co podbitym; na każdym kroku pierwszy lepszy Moskal daje uczuwać Polakowi, że on jest tu panem, a ludność miejscowa — to Heloci.

Ubiegły rok więcej aniżeli uprzednie przyniósł strat w tej części Ojczyzny naszej.

Ażeby przypomnieć o ciągłości systemu, nowomianowany jenerał-gubernator Wileński, Orżewskij, przypomniał murawjewowski rozkaz o wzbronieniu publiczności na Litwie używania języka polskiego w biurach, urzędach i miejscach publicznych. W Królestwie znów uderzono w ostatnią instytucyę polską Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Oddawna solą w oku była ta instytucya dla „diejatieli“ miejscowych, używano wszelkich sposobów, wreszcie spożytkowano do tego dzieła renegata, Śnieżko-Błockiego — i dopięto swego. Rozporządzeniem carskim w r. 1897 ostatecznie ma być wprowadzonym język rosyjski w Tow. Kr. Ziem., a na stanowiska obieralne (radcowie i prezesowie komitetu i Dyrekcyi szczegółowych) będą mogli być powoływane osoby, znające język moskiewski.

Oprócz tego radzą nad „reformą“ sądów gminnych, jedynej w Królestwie instytucyi państwowej, w której pełnią urząd jednostki z wyboru. Na tej instytucyi napół autonomicznej bardzo się zawiedli popowstaniowi reformatorowie nasi. Przypuszczano, że na sędziów

i ławników *) gromady będą wybierały jedynie gospodarzy włościan, że sądy gminne pozbawione inteligencyi będą orężem powolnym w rękach „komisarzy do spraw włościańskich“, tych sprowadzonych po reformie włościańskiej „obrońców ludu“, których właściwem zadaniem i przeznaczeniem jest siać niezgodę między ludnością, podszczuwać chłopów na inteligencyę, a wpajać przywiązanie do opiekuńczego rządu“. Lud prędko się poznał na farbowanych lisach — nie mają oni wpływu, a inteligencya wiejska, jeżeli chce, zawsze ma posłuch i uznanie. Włościanie odrazu zaczęli wybierać t. zw. obywateli ziemskich na sędziów i trzeba przyznać, że inteligencya nie zawiodła ludu, sprawując ten obywatelski urząd z godnością i sumiennością wielką.

Nie w smak to poszło naszym opiekunom, że inteligencya w wielu miejscowościach miała wielki wpływ na lud nie zatwierdzano też w ostatnich czasach wielu nowo obranych sądziów, naznaczono natomiast z urzędu. W pierwszym rzędzie w powiatach, zamieszkałych przez rusinów i unitów, strzeżono pilnie, aby nikt z wpływowych osobistości nie zasiadł na krześle sędziowskim.

Oprócz przeprowadzonych i projektowanych zmian, rok ubiegły pamiętny będzie z powodu prześladowań duchowieństwa i wogóle Kościoła katolickiego. Zamknięcie seminaryum w Kielcach, więzienie profesów i alumnów, rewizye u księży na obszarze całego Królestwa, na Litwie, w Petersburgu nawet, częste i bezprawne zasuspendowywanie księży przez Hurkę, lub zsyłanie do klasztorów, uniemożebnianie księżom przez Apuchtina wykładu religii w szkołach ludowych, nadzór ze strony okręgu naukowego nad nauką w seminaryach duchownych, wreszcie krew przelana w Krożach na Żmudzi — o to są fakty, świadczące o równouprawnieniu wyznań w „cywilizowanej“ Rosyi, aliantce katolickiej Francyi.

Oprócz duchowieństwa szczególnie prześladowani są jak zwykle młodzież kształcąca się i robotnicy. Bezprzykładne policyjno-żandarmskie gnębienie młodzieży gimnazyalnej — wydalanie ze szkół, rewizye i osadzanie w więzieniach trwa bez przerwy, a robotników przynajmniej kilkudziesięciu, jak rok długi, siedzi w X pawilonie.

Za obchody narodowe, za 3-ci maja 1891 r. wysłano (po śledztwie. trwającem 2½ lat) w listopadzie w głąb Rosyi blisko 20 osób, przeważnie ludzi starszych ze stanowiskami. Za obchód w r. ubiegłym trzy osoby zesłano, trzech studentów wydalono z uniwersytetu, a przeszło 30 osób oddano pod dozór policyjny. — W końcu roku 3 studentów i 2 młodych ludzi, którzy niedawno pokończyli studya, skazano na ciężkie więzienie w Petersburgu (na 3 lub 2 lata — jeden na 1½ r.) i zesłanie na Sybir lub gub. Wołogodzkiej. Młodzież tę podejrzewano o należenie do tajnej organizacyi studentów polskich.

Wymienione sprawy to tylko główniejsze. Niema niemal tygodnia, aby nie robiono rewizyi, nie czyniono aresztów w Warszawie lub na prowincyi. W lutym np. r. z. starannie poszukiwano niecenzuralnych książek pomiędzy włościanami - w Rawskiem, Łowickiem i Gostynińskiem.

Czują Moskale, że setna rocznica Konstytucyi 3-go maja nie przeszła bez śladu, czują że zjawia się odporność, że duch narodowy potęguje się, dlatego też szpiegują z większą energią i za byle co nawet niewinnych karzą.

To jest najlepszy dowód, że przeciwdziałanie czynne jest i wzmaga się pod zaborem moskiewskim, i to zaznaczyć trzeba, bo o tych tysiącznych sposobach, jakiemi Polacy walczą z rusyfikacyą, o tych niezliczonych pracach, budzących naród do życia, o samoobronie narodowej, o poświęceniach jednostek milczeć należy, aby nie dać wrogom broni w rękę lub nie skierować prześladowań ich w którąkolwiek stronę. *S. B.*

Z RACIBORZA.

Kilka słów o ruchu polskim w powiecie raciborskim.

Zdawałoby się może, że z lewego brzegu Odry, trudno o głos, któryby mówił o coraz silniejszem budzeniu się życia narodowego, w tym zakątku Piastowej Polski, siedmset lat już oderwanej od macierzystego kraju. Tymczasem tak nie jest. Sami Niemcy, do niedawna powtarzający jeszcze z lubością, że za Odrą nie masz już nic polskiego, ale wszystko na wskróś niemieckie, wobec ostatnich wypadków, a zwłaszcza skutkiem tegorocznego ruchu wyborczego, chcąc nie chcąc, muszą te słupy etnograficzne, ze wstydem i nie bez pewnych oznak niezadowolenia, przenosić na lewy brzeg Odry, aż po górny bieg Psyny w powiat głubczycki.

W powiecie raciborskim ludność słowiańska stanowi po dziś dzień ogromną przewagę nad Niemcami, dosyć jest, choćby przytoczyć tylko ostatnie wyniki spisu ludności z r. 1890. Na przestrzeni 858 klm. □, jaką powiat raciborski zajmuje, ogół mieszkańców dosięgnął w tym roku cyfry 134 872, z czego przypadało na katolików 128.488 dusz, a zatem 95·3%, na ewangielików 4.810 (3·6%), a na żydów 1.564 (1·2%). Jak wiadomo, spis ostatni uwzględnił niemniej i podział ludności na podstawie języka rodzinnego („Mut-

---

¹) Sąd gminny składa się z jednego sędziego i dwóch ławników. Trzy lub cztery gminy stanowią jeden okręg sądowy. Gminy w Królestwie są znacznie większe od galicyjskich; obejmują sobą po kilka wsi wraz z obszarami dworskiemi, stanowiącemi nierozerwalną całość z gminą. Do gmin zaliczają się i osady (małe miasteczka).

tersprache“), otóż w powiecie raciborskim wpisało się wówczas 60.422 osób do rubryki języka polskiego, 46.412 do języka morawskiego, a tylko 26.085 wyłącznie do niemieckiego. Po zatem 1.921 osób podało oprócz niemieckiego języka, jakiś inny język, głównie polski lub morawski za swój rodzinny. Tych ostatnich prawie wszystkich zaliczyć należy bądź do Polaków, bądź do Morawian, pomimo, że urzędowa pruska statystyka tylko połowę z tej sumy przypisuje tym narodowościom, a drugą połowę do niemieckiej dołącza. Już zatem opierając się na cyfrach spisowych i uwzględniając liczne usterki, jakie one w sobie zawierają, a zawsze z krzywdą słowiańskiej ludności, a na korzyść niemieckiej, przekonani jesteśmy mocno, że ludność polska w powiecie raciborskim z pewnością dochodzi dzisiaj do 70.000, morawska do 50.000 i że niemieckiej ludności braknie cokolwiek do wykazanych 26.000 w r. 1890. Bądź co bądź stanowimy tutaj połowę ludności, a Niemcy tylko szóstą część! Uwzględniwszy przytem pobratymczą nam ludność morawską, jakkolwiek otoczeni i ciśnieni zewsząd przez Niemców, zdolni bylibyśmy przeciwstawić im wielką siłę odporną, gdyby świadomość tej walki i potrzeba jednolitego skupienia wszystkich sił narodowych, nieobcą były szerokim warstwom ludności słowiańskiej tutaj, i gdybyśmy liczyć mogli na poparcie i współdziałanie tych sfer, które w pierwszym rzędzie obowiązane by były, jeśli nie stanąć na czele tego ruchu narodowego, to w każdym razie nie być mu kamieniem u nogi, jak to się niestety dotychczas dzieje.

Ogniskiem ruchu narodowego w tym zakątku ziemi górnoszląskiej, po lewym brzegu Odry, jest miasto Racibórz, z przeszło dwudziestotysięczną ludnością. Samo miasto jest niemieckie, tylko przedmieścia, jak Nowe Zagrody, są zamieszkałe przez ludność polską; zato cała okolica Raciborza w kilkomilowym pasie jest gęsto zasiana wsiami polskiemi i morawskiemi. Cały ruch narodowy skupia się jak dotąd prawie wyłącznie koło „Nowin Raciborskich“, wychodzących trzy razy na tydzień, a liczących już do 5.000 abonentów. „Nowiny Raciborskie“ stanęły odrazu na gruncie czysto narodowym polskim, a podejmując obronę ludu górnoszląskiego, wypowiedziały jasno i otwarcie, że walczyć będą i upominać się nie przestaną nigdy o prawa przynależne tej ludności, że żądań swoich nie ograniczą tylko do spraw kościelnych wyznaniowych, ale rozszerzą je do wszystkich potrzeb moralnych i ekonomicznych polskiego ludu na Górnym Szląsku. W pierwszym rzędzie zatem do języka polskiego w szkołach ludowych. Taki program nie mógł się podobać katolickiemu centrum, które sprawowało dotychczas wyłącznie opiekuńczą władzę nad małoletnimi i podstrzygało wełnę z bojaźliwego stada na swoje sutanny i wybierało łój tylko na lampki kościelne. „Nowiny Raciborskie“ znalazły zatem odrazu gotowy zastęp przeciwników i to nietylko w obozie szowinistów niemieckich, wśród sprzymierzeńców z katolickiego centrum, — ale niestety i wśród własnych rodaków. Z małymi wyjątkami cały kler górnoszląski, pod wpływem nie dwuznacznie wyrażonych życzeń ks. kardynała Koppa, a poparty znaczeniem i kapitałami pp. Balestremów, Matuszków, Gliszczyńskich i t. d., wystąpił do walki z „Nowinami Raciborskiemi, nadużywając częstokroć i kazalnicy w tej krucyacie przeciw narodowości, a bynajmniej nie za kościołem, który najzupełniej pomieścić się może i w granicach najdalej idących życzeń narodowych, odrębności, równouprawnienia i sprawiedliwości. Założona w tym czasie „Górnoszląska Gazeta ludowa“ miała za zadanie zgasić pierwsze zarzewie buntu polskiego, podniecanego przez „Nowiny“. Próba zrobiła kompletne fiasco, brakło wśród ludu polskiego nietylko prenumeratorów na antinarodową gazetę, ale nawet i chętnych czytelników, pomimo, że księża po kościołach rozdawali ją bezpłatnie swoim parafianom. Gdy po roku losy gazety stały jeszcze gorzej, uznano za stosowne zmienić jej redaktora i niepopularny tytuł na nowy. W ten sposób wylęgnięta poczwarka, nosząca nazwę „Kuryera górnoszląskiego“ wegetuje dotąd, ale pomimo całej forsy i agitacyi kleru nie dochodzi ona dalej jak do rąk organistów i dnie jej wydają mi się być już policzone. Polacy tutejsi o tyle zmądrzeli, że na plewy nie dadzą się już złapać tak łatwo, choćby one nawet pochodziły ze stajni samego ks. proboszcza.

Nastały czerwcowe wybory do parlamentu (1893 r.). Stronnictwo narodowe w powiecie raciborskim postanowiło przejść przez pierwszy ogień próbny, stawiając swojego własnego kandydata, w osobie p. Roboty, pozasłużbowego nauczyciela z Prudnika. W obozie katolickiego centrum powstał popłoch skutkiem tej otwartej i głośnej już „anarchii ludu polskiego“. Dawny poseł raciborski p. Gliszczyński nie miał najmniejszych widoków powodzenia, tembardziej, że głosował za wnioskiem br. Hunego, postawiono więc kandydaturę nową, ale o tyle pewniejszą do przeprowadzenia, że podsunięto osobę duchowną. Polak, występujący przeciw ks. Frankowi, proboszczowi św. Piusa w Berlinie, z urodzenia Górnoszlązakowi, dawniejszemu kapłanowi w Raciborzu i prezesowi stowarzyszeń tutejszych, tem samem ściągał na siebie zarzut jawnej apostazyi od kościoła katolickiego. Walka była zaciętą. Stronnictwo „Nowin Raciborskich“, jakkolwiek usilnie pracowało nad przeprowadzeniem narodowego kandydata, nie mogło przecież liczyć na pewne zwycięztwo, zwłaszcza gdy zważymy, że walczyć mu przyszło szczupłymi środkami i tylko zaufaniem, przeciwko długoletniej tradycyi wy-

borczej, jaką niosło centrum za sobą, całemu sznurowi popleczników wysoko postawionych — a i brzęczącej argumentacyi talarów. Wobec nierównej walki stronnictwo narodowe ani na włos nie ustąpiło z raz obranej drogi, choćby to się okazało nawet nie politycznie, postanowiło iść w tym wypadku ostro i śmiało naprzód, nie licząc się z tem, co komu może być miłe lub niemiłe, ale co narodowi polskiemu na Górnym Szlasku drogie i konieczne do życia. Po raz pierwszy może w tych stronach zagrzmiał tak silny i stanowczy głos polski, jak ten, zawarty w odezwie do wyborców powiatu raciborskiego. Stało tam między innemi: „Ocknij się ludu polski i morawski, przebudź się z długoletniej gnuśności. Nadszedł czas, w którym masz otwarcie powiedzieć czego pragniesz i żądasz... Jesteśmy Polakami i Morawianami, narodowości naszej się nie wyrzekniemy póki życia, póki tchu w piersiach i w ojczystym języku chcemy się modlić do Boga. Nie żądamy niczego więcej, jeno równouprawnienia, żądamy szacunku i uznania praw naszych... Naprzód bracia w imię Boże za święte prawa polskiego i morawskiego ludu szląskiego“! *).

Do urny wyborczej stanęło 15.978 wyborców; na ks. Franka padło 9.582 głosów, na p. Robotę 5.749. Te sześć tysięcy głosów polskich, jakie wówczas padły na narodowego kandydata, mogą być otuchą dla dalszej pracy „Nowin Raciborskich“, bo jeźli w krótkim czasie osiągnięto już tyle, jest nadzieja, że w przyszłości będzie coraz lepiej! Nie zwyciężyliśmy jeszcze tą razą, ale niemniej daliśmy pierwszy raz silniejszy znak życia o sobie. Niemcy poczuli, że oprócz nich żyje jeszcze drugi naród na tej ziemi, który ma równe prawo, jeśli nie większe, do życia na swoim zagonie.

Przy wyborach jesiennych do sejmu z powodu mniej korzystnej dla nas ordynacyi wyborczej, nie mogliśmy mieć żadnych widoków powodzenia, w każdym razie upomnieliśmy się u centrum o jednego kandydata dla siebie, z dwóch, jakich powiat raciborski wybierał. Centrum odrzuciło naszą propozycyę, skutkiem czego głosy się rozbiły, a skorzystali na tem rządowcy, którzy ostatecznie swoich kandydatów poprzeprowadzali. Tym sposobem centrum po raz pierwszy od r. 1873 otrzymało w raciborskim powiecie nauczkę, że głosy polskie coś znaczą, że Polacy oprócz przywiązania do kościoła mają swoje poczucie narodowe, które nie kupują na odpuście w Starejwsi, ani nie sprzedają go na rynku w Raciborzu.

Smutno się do tego może przyznać, ale faktem jest, że w dzisiejszym stanie rzeczy na Szląsku pruskim dla sprawy polskiej groźniejszy jest od najzagorzalszych Niemców powolny sługa katedry wrocławskiej. Zdarzają się wypadki, że księża tacy, wprost wypierają z kościołów język polski; dzieje się to szczególniej ze śpiewami kościelnymi, do których wprowadza się najprzód język łaciński, a skoro parafianie przyzwyczają się już do obcego i nieznanego języka, z całą łatwością przychodzi go już zastąpić następnie niemieckim. Zaciekłość germanizatorska dochodzi w tych wypadkach czasem do wstrętnych scen, jak n. p. ta, która się zdarzyła w kościele podominikańskim na przedmieściu Nowe Zagrody w Raciborzu. Kapelan ks. Burek usiłował tu wprowadzić śpiew niemiecki, ludność nie chciała o tem słyszeć i śpiewała dawne polskie pieśni, to rozgniewało do tego stopnia kapelana, że zapominając o miejscu świętem, zawołał do ludu: „ja waszych polskich ryków słuchać nie będę“. Wielu ludzi w milczeniu opuściło świątynię pod gołem niebem kończąc swoje modlitwy w ojczystym języku.

Nie brak przecież i w naszych stronach ludzi zacnych, szczerych Polaków i oddanych gorąco sprawie ludu. Zwłaszcza między młodszą generacyą kapłanów częściej się z nimi napotkać można. Ale to też los tych ludzi jest nie do pozazdroszczenia, dokucza im na każdym kroku władza świecka i duchowna, muszą lata całe czekać na probostwa, lub jeśli dostają to najgorsze i w tych miejscach gdzie działalność ich byłaby najmniej niebezpieczną dla postępów germanizacyjnych. Natomiast najpewniejsi otrzymują zawsze probostwa po miastach, gdyż Niemcom chodzi najbardziej o to, aby żywioł polski przedewszystkiem z miast usunąć, gdzie do tej chwili dotrwał jeszcze. Jeżeli z goryczą piszemy te słowa o działalności naszego kleru, to właśnie dlatego, że przeświadczeni jesteśmy o ważności obowiązków narodowych, jakie na nim tutaj ciężą, wśród ludności biednej, uciśnionej i pozbawionej światłych przewodników.

I. R.

---

*) Szanowny korespondent dołączył nam egzemplarz odezwy, z której ośmieliliśmy się przyłączyć ten ustęp do korespondencyi. Odezwę powyższą z d. 19. maja 1893 podpisał komitet wyborczy polskiego i morawskiego ludu katolickiego na powiat Raciborski, składający się z przewodniczącego Dra med. Józefa Rostka, redaktora Maćkowskiego jako sekretarza i dwustu kilkudziesięciu członków komitetu, przeważnie włościan wsi okolicznych. (Przyp. Red.).

POWIEŚĆ I POEZYA.

NIEOBECNI.

OPOWIADANIE

T. T. JEŻA.

Hrabia Artiur Ruczajski, młody, przystojny, wyrazem semickim oblicza mocno nacechowany, niewątpliwie jednak ród swój

wyprowadzający od przodków, notowanych na każdej niemal karcie historyi krajowej, nader pięknie wychowany, po polsku nieumiejący i bardzo bogaty, pojął za towarzyszkę dożywotnią hrabiankę Izę, również młodą, również przystojną, także z krwią żydowską w bliskiej pozostającą łączności, również pięknie wychowaną i także bardzo bogatą. Para ta dobrała się pod każdym względem. Hrabia i hrabianka znaleźli się, mimo że się nie szukali zgoła, znaleźli się i pobrali.... w Krakowie. Czemu w Krakowie? Niewiadomo dokładnie: dla sprawozdania może, które, na miejscu zredagowane, powtórzonem zostało przez wszystkie dzienniki przyzwoite i wywarło na czytelnikach wrażenie niemałe, spowodowane opisem wystawy weselnej, przypominającej opisy tego rodzaju z czasów dawniejszych. Pan młody wystąpił w kontuszu, w pasie złotolitym, przy karabeli, w brylantach na klamrach, spinkach i guzach. Miał na sobie, jak obliczano kilkakroć sto tysięcy złotych reńskich

— Pan... pan gębą całą! .. — powiadano.

I dobrzy ludzie snuli stąd wnioski rozmaite na przyszłość, opierając je na kontuszu i guzach.

— Krew pradziadów zagrała. .

Spodziewano się powszechnie następstw jaknajlepszych; widziano w młodym hrabi przyszłego mecenasa nauk, literatury, sztuk, upatrywano w nim obywatela wzorowego, pomimo że po polsku nie umiał.

— Cóż on winien temu?...

Pogłoski krążyły, że się tego wstydzi, że zamierza w Krakowie osiąść i przystąpić niezwłocznie do nauczenia się języka ojczystego.

— Krew zagrała... I Kraków na tem zyska... Pan taki wielki!...

Przypuszczenie co do zysku Krakowa trafiało szczególnie do przekonania żydów, którzy z zadowoleniem niemałem powtarzali sobie po cichu wyrazy:

— Jaśnie wielmożny hrabia Artiur Ruczajski... Jasny pan... Jasny...

Obliczali oni i miarkowali, jaka cząstka milionów i jaką drogą przejdzie z kasy hrabiego do ich kieszeni.

Zawiedli się jednak i żydzi i wszyscy.

Młodzi hrabiostwo osiedli, ale nie w Krakowie, ani we wznoszącym się na Wołyniu śród słomą krytych chałup wiejskich pałacu przodków, ani w Warszawie, ani nigdzie na ziemi ojczystej.

Czemuż to?

Czemu ślub w strojach polskich, ze staropolskim przepychem, w starożytnym grodzie polskim brali, a gniazdo małżeńskie gdzieindziej założyli?

Jaka racya z Krakowa ich wydaliła? — Czy ta, że hrabia języka ojczystego nie posiadał? Nie. Racya ta racyą by być mogła w takim jego razie, gdyby w Krakowie człowiekowi, takie wysokie społeczne zajmującemu stanowisko, bez mówienia po polsku obejść się nie można. Nie! zachodziły tu powody inne. Kraków wprawdzie jest dla arystokracyi przytuliskiem, ale dla tej szczególnie, która w klasie owej stanowi to, co nazwać by się dało z francuska *menu fretin.* Są to okazy zakopcone, dymem nieco cuchnące, przedpotopowość przypominające, bardzo maniaczne, bardzo szacowne, bardzo nawet ciekawe, ale nie bardzo zabawne. Stare to, stare, stare, nie latami ale piętnem na czole wyciśnionem. Staremi tam są dzieci nawet, nawet z pączka wykwitające i na świat z ciekawością wyglądające panienki, nawet panicze, którym księża rozgrzeszenia odmawiają. Wszystko tam w mateczniku tym stare, bardzo stare, pomimo odnawiania, restaurowania i podmalowywania, i szacowne, powtarzam, ciekawe i... Ale...

Ale nie to hrabiego Artiura z Krakowa wydaliło.

Zamiar, który mu przypisywano, powstał był w głowie jego rzeczywiście. Gotów on był w Krakowie zamieszkać, bodaj na czas jakiś, ale pod warunkami, co do których zapewnić się chciał z góry.

— Dobrze... powiedział komuś z tych, z kim o kwestyi tej mówił — ale, czy posiada Kraków pokarm umysłowy?..

Ktoś ów wyliczać jął zakłady wszystkie wyższe.

— Nie o to mi chodzi... — odrzekł hrabia.

Ktoś w stronę literatury się rzucił.

— Nie... to, nie to...

— Dziennikarstwo więc chyba..

— A... Jakże tu z tem?

— No... *Czas*...

— Cóż to ten *Szas?*...

— Jest to rodzaj polskiego *Univers'a*, poważniejszy jeno nieco...

Skrzywił się hrabia na to.

— Wychodzi tu *Przegląd Polski*, — *une revue*... taktowny, umiarkowany, redagowany przez najtęższe w Polsce głowy... rozumujący i kronikujący ze stanowiska, o ile czysto katolickiego, o tyle lojalnie austryackiego...

I na to się hrabia skrzywił.

Ktoś ramionami ścisnął, na znak, że informacye co do strony umysłowej wyczerpał do dna.

— Nie wychodzi nic w rodzaju *Figara?*... — zapytał młody hrabia.

— Nie... ale by — pochwycił ktoś — wychodzić mogło...

— A to jak?

— Za pomocą zużytkowania niewyczerpanych zasobów dowcipu, leżącego w Krakowie odłogiem...

— Doprawdy?... — zdziwił się młody pan...

— No.. tak... — odrzekł ktoś przeciągle i opowiadać począł o wielkich tryumfach kronikarskich *Przeglądu* i *Czasu*, o tryumfach, któreby większe jeszcze bez porównania były, gdyby się kto podjął osadzić je na stałej a niewzruszonej podstawie, wyrażającej się pod postacią nakładu uprzedniego i subsydyów następnych.

„Kto“ — ściągało się do hrabiego. Czy domyślił się tego? czy się nie domyślił? — orzec trudno. Poprzestał jeno na skonstatowaniu faktu, że Kraków *Figara* nie posiada i fakt ten stał się dla niego racyą dostateczną do osiedlenia się w Paryżu.

Osiedlił się w Paryżu dla *Figara*.

Wyda się to może dziwnem komu. Jest to jednak rzecz wcale w naszych czasach powszednia. Dziennik *Figaro*, w momencie dzisiejszym, w którym Francya stała się dla ludzi tego co hrabia Artiur kroju przedmiotem obrzydzenia najwyższego, stanowi *great attraction*. Nie jest to przedmiot w rodzaju tym jedyny, ale wydatny. *Figaro* stał się monitorem sfer arystokratycznych, posiadającym w stopniu wysokim sztukę lawirowania pomiędzy grzechem a cnotą. Przekonania jego polityczne, społeczne, filozoficzne, religijne nawet nie idą w rachunek wcale, pomimo że się przyznaje do takich, które popłacają w sferach towarzyskich wysokich. Z tego atoli, że się przyznaje, nie wynika jeszcze, że jest tem lub tem. Nie wiadomo, czem on właściwie jest: jest Figarem przedewszystkiem, złośliwym, dowcipnym, pobłażliwym dla ułomności ludzkich, gdy one przejawiają się u panów i pań wielkich, niemiłosiernie chłoszczącym wszystko, co panom i paniom wielkim przykrość jaką sprawia, nabożnym, bezbożnym i w dziale anegdotycznym umieszczającym codziennie dykteryjki tłuściutkie, pieprzniutkie i wielce ciekawe. Stąd znanym on i czytanym jest szeroko w świecie, jak daleko mowa francuska sięga. Żaden w Europie szanujący się salon bez *Figara* obejść się nie może. Płeć piękna szczególnie względami go zaszczyca, znajdując w nim tę medalu stronę odwrotną, bez której medal medalem by nie był. Spowiedź i *Figaro* są to dwa bieguny, o które opiera się oś życiowa, obracająca się, jak się obraca kula ziemska, owiana dokoła prądami atmosferycznymi, zmieniającymi się, jak się zmieniają gusta, kaprysy i uczucia. *Figaro* — ach!.., iluż to pismom poważnym poza granicami Francyi służy on za model, za natchnienie i za przewodnika! W Paryżu indywidua niektóre nawykają do niego tak, że staje się potrzebnym, jak powietrze, jak światło, jak chleb powszedni. Spożywać go muszą codziennie, w stanie świeżym, wprost z pod prasy; gdy się raz z Paryża wydalają, zapewniają sobie jego dostawę, numer po numerze. W takim atoli razie następuje pewien rodzaj choroby, podobnej bardzo do nostalgii, objawiającej się pod postacią połączenia tęsknoty i czczości. Życie nie w smak idzie. Ustawicznie czegoś brak. Budzą się zachcianki dziwaczne. Znałem pewną niepierwszej młodości damę, która, podróżując po Włoszech, gdy niekiedy pozbawioną była „swego“ *Figara*, uczuwała w sobie ochotę do wycia. Niech się jednak nie wydaje komu, że była to dama lada jaka. O nie! Będąc panną, była hrabianką, gdy zamąż wyszła, została hrabiną. Hra-

bina owa z tęskoty za *Figarem* uczuwała pociąg do „wycia“ — *sic:* nazywam rzecz po imieniu i przepraszam za wyrażenie, mające tę jeno zaletę, że oznacza dokładnie manifestacyę, jaką wywołała tęsknota za *Figarem.*

Tęsknocie tej uległ i hrabia Artiur. Nie objawiła się u niego w ten, co w damie owej sposób, ale w ten, że głuchym się okazał na przedstawienia wszelkie, mające na celu uczynienie go w Krakowie *obecnym.*

Prawda wyznać nakazuje, że w przedstawieniach owych nie było nacisku nader wielkiego. Nie. Mówiło się o tem od niechcenia, ubocznie. Nacisk największy pochodził ze strony owego „ktosia“, co zaznaczył w Krakowie dowcip. I ten jednak, na rzut hrabiego, co do *Figara*, uznał ważność pobudki, skłaniającej młodego pana do podążenia tam, gdzie się *Figaro* drukuje, gdzie go mieć można wprost z pod prasy, tak świeży, jak ręką własną owoc z drzewa zerwany. Pobudka to była ważna — wyznać należy.

— A... — powiedział ten ów, z giestem odpowiednim.

Ta i owa zrozumiała hrabiego.

Niemniej przeto po sercach tych, co w ceremonii zaślubin udział czynny brali, przesunął się pewien rodzaj żalu. Pochodził on stąd, że w młodym hrabi okazywały się skłonności wysokocenne, pomiędzy któremi górowała miłosierność. Płynęła ona z natury niejako i tem była cenniejszą, że stanowiła uderzający kontrast w odniesieniu do ojca hrabiego, znanego ze skłonności wręcz przeciwnej. Tamten był to samolub dziki, chciwiec niepowściągniony, krzywdziciel bezwzględny, fantastyk przytem, który osobliwej jakiejś doznawał rozkoszy w rujnowaniu bliźnich. Dogadzał też sobie we względzie tym — dogadzał tak dalece, że często przekraczał granice prawem określone. Była to osobistość głośna, przedstawiająca w społeczeństwie okaz ciekawy, acz dający się wytłomaczyć historycznie, niby ciąg dalszy owych okazów typowych, jakimi byli: Panie Kochanku, Dyabeł Stadnicki, zwłaszcza zaś starosta Kaniowski. Łono społeczne polskie, dzięki nasiąkowi żywiołów jego naturze obcych, stało się polem, usposobionem do wydawania tego rodzaju potworów. Stary hrabia Ruczajski był potworem na wzór starosty Kaniowskiego, ale zmodernizowanym. Karmił się krzywdą ludzką i stanowiło to dla niego pokarm najmilszy. Opowiadano o nim rzeczy ciekawe, których powtarzać nie będziemy, zaznaczając jeno fakt różnicy, jaka zachodziła pomiędzy hrabią starym, który, syt sławy smutnej i życia, zamknął w Paryżu powieki, a hrabią młodym, o którym głoszono powszechnie, że za dewizę życia wziął sobie: *La charité chrétienne.* Przypisywano mu intencyę naprawiania grzechów rodzica i lękano się nawet potrosze, ażeby intencyi tej nie posunął za daleko. Obawiano się pod względem tym przekroczenia tej granicy, na której zatrzymuje się potworność taka, jaką była nieboszczyka, a rozpoczyna się inna, potworniejsza od potworności wszelkich, potępianych przez ludzi nabożnych. Stary bowiem hrabia grzeszył straszliwie, grzeszył okropnie, grzeszył bez miary, wszelako był punkt jeden, który grzeszliwość jego neutralizował. Grzeszył, ale rezerwował sobie żal za grzechy i zachowywał się odpowiednio do tej rezerwy. Punkt ten uważano za bardzo ważny i poczytywano nieboszczykowi za dobre, że stosownie do punktu tego zarządził wychowywanie syna, który wiek dziecinny i młodzieńczy spędził pod wyborową opieką kościelną. Na parę lat przed śmiercią wziął go ojciec do siebie i wnet gruchnęły pogłoski, jakoby hrabia stary, wyrzutami sumienia dręczony, przed synem się spowiadał i dawał mu informacye, mające na celu naprawienie krzywd, jakie ludziom wyrządził. Pewnego nie było w tem nic. Głuche jeno krążyły pogłoski: o wielkiej starca skrusze, o nabożności nagle rozbudzonej, o testamencie pełnym legatów na uczynki bogobojne, na msze wiekuiste, na klasztory, na kościoły etc. Hrabia jednak umarł i nie okazało się w tej gadaninie całej prawdy za grosz. Hrabia Artiur posiadł majątek olbrzymi, najmniejszym nie obciążony legatem. Fakt ten powitał *Figaro* artykułem, poświęconym pamięci zmarłego, a zaczynającym się od wyrazów: „Dobrze w sferach najwyższych towarzy-

stwa znany hrabia..." Wspomnienie to pośmiertne zawierało pochlebstw tyle, ile słów, a kończyło się zwrotem do spadkobiercy, którego nazwało „prawie swoim", to znaczy, *prawie* francuzem. Możnaby było dodać: „niby polakiem".

„Niby" owe nie było jednak bez znaczenia. Gdyby nie ono, byłby młodzieniec ślubu w Krakowie nie brał

(D. c. n.)

NA STADIONIE.

I.

Gdzie te tłumy Greków idą,
Aż od ludzi Hellas rojna!
Czy pobrzęknął Ares dzidą
Nad zielonych łąk Elidą?
Czy w Helladzie wojna?

Nie — to księżyc w pełnej zbroi,
Gdzieś od gór na Syrastrenach,
Wszedł, i Greków niepokoi
Tem wspomnieniem dawnej Troi,
Co tu tkwi w Hellenach.

Z mórz Egejskich, z zatok, z cieśni,
Stuwiosłowe mkną okręta,
Wiatry dmą! a głoszą pieśni:
Wstyd Grekowi, który prześni
Olimpijskie święta.

W całym kraju pod niebiosa
Bije jeden okrzyk ludów:
Gdzie Herea złotowłosa,
Gdzie pelopski mur — Krobosa
Pamięć żyje cudów!

Już oliwny gaj na wzgórzach
Zielenieje, lśnią już pęki
Na gałązkach jak na różach —
Tym, co wznojnych idą burzach
Taki kwiat do ręki.

Wiatr tych listków nie obetnie,
Tylko ostrzem nożyc złotych,
Jeno zejdzie świt, nieletnie
Chłopcze pójdzie w las i zetnie
Gałązeczek sto tych.

I palmowa gałąz wiotka
Do rąk temu się dostanie,
Kto jak lew — ze lwem się spotka,
Z czyjej piersi jedna zwrotka
Arf przygłuszy granie.

Nikt! o nikt, jak greckie staje!
Nie chce być ostatni gotów:
Choćby burza szła w te kraje,
To helockie czmychną zgraje —
Mało kto z Beotów!

Co najświętsze Grek posiada,
To już weszło w taki modus,
Że dziś Grecyi wszystko składa:
Bo co Rodus ma — Hellada,
A co Hellas — Rodus.

II.

Z wysp, gdzie lud ze siły słynie,
Trzymasztowy okręt, nagle,
Przez Kretyjskie morze płynie;
Wiosła huczą w nim jak w młynie,
Jako piorun żagle.

To Rodowie z skarbca wzięli
Najcenniejsze swe klejnoty,
Na okręcie im rozpięli
Z assyryjskich płócien bieli,
Jako śnieg namioty.

Dookoła masztów pnie się
Wąż zielony — płyną — niby
Wiatr po wawrzynowym lesie
W drzewa dmie, i okręt niesie
Po nad gładkie szyby.

Nikną w dali wysp szeregi,
Tak się żagiel w przód rozpiera
I haftuje wodne ściegi;
Już lakońskie widać brzegi,
Widna już Kitera!

Jakiś starzec na burtnicę
Wszedł, gdzie ster rozcina pianom
Ze stalowych wód przyłbicę,
I wyciągnął w przód prawicę,
Dając znak młodzianom.

Nieopatrznie palec ręki
Po powietrzu go już wodzi,
Zataczając kołołęki
Mówi do nich jak z piosenki:
„Patrzcie! patrzcie młodzi...

„To helleńska ziemia w dali!
„Greckie pola rozpostarte:
„Tu Malea... Bea... Ali,
„Ażebyście dobrze znali
„Przepływamy Spartę.

„Widzę cały świat w tej chwili,
„Tak, jak go tu stworzył Zeus!“
Okręt płynął wzdłuż Etyli
Zanim słońce się pochyli
Wjedzie w port Peneus...

A gdy brzaski dnia nastaną
I czerwony świt zapłonie,
Wschodząc ponad błoń równianą,
Już heroldzi w głąb miedzianą
Zadmą na puzonie.

III.

U doryckich słupów, nocą,
Przed ołtarzem Olimpionu,
Zapalone ognie złocą
Twarz Zeusa... On wszechmocą
Na świat patrzał z tronu.

Dym kadzideł z wonnej czary,
Na kształt baldachimu, w górze,
W gwiazd unosił się obszary
I przemieniał w skrach ofiary,
Na czerwone róże.

Wierzą Grecy, że nie spłonie
Żaden dar, na tym z kamieni
Bogu poświęconym tronie,
Ale on go na stadionie,
W siłę, w moc przemieni.

Jakiś, z helleńskiego grodu,
Obywatel z Teb, czy Sparty,
Stanął, mówiąc do narodu,
Jak mu jeden dzień za młodu
Utkwił niezatarty:

„Ja wam z lat, co lecą chyże,
„Jedną wspomnę Olimpiadę,
„Tę, co Pindar na swej lirze
„Opowiadał w natchnień wirze —
„Ja, przez usta blade:

„Byłto Jon... Z rodyjskiej strony
„Przybył na achajskie łany;
„Gdzie zaszumiał las zielony,
„Wszędzie biegł niezwyciężony,
„W bój — niepokonany.

„W Isthmie, w Pythii stawał w szranki,
„Z oliwkowych greckich gai
„Wszystkie liście rwał na wianki,
„Że nie stało — dla kochanki,
„W całej już Achaji!

„Lwy nemijskie — wstyd wam Grecy!
„Na igrzysku koryntyńskiem
„Wy dorównać mu dalecy,
„Bo was czterech wziął na plecy,
„Zgniótł, jak kołem młyńskiem.

„Nastaj olimpijskie bramy
„Przed nim się otwarły, skoro
„Bogom na święcone chramy,
„Cisnął skał rodyjskich złamy
„I trofeów sporo.

„W penthalonie, z nagród pięciu,
„Wszystkie pięć wziął ten Rodyjczyk:
„W skoku, w biegu, pierwszym w cięciu
„Był — o hołd! takiemu książęciu
„Jak ów Olimpijczyk.

„Wracał; w domu zewsząd tłumny
„Lud zwycięzcę witał wrzosem,
„Spiżowemi czcił kolumny,
„Sławą jego był tak dumny,
„Jako tym kolosem.

„W purpurowym płaszczu wszędzie
„Wóz go nosił tryumfalny,
„Przy nim konie jak łabędzie,
„Takie białe — w skrach i w pędzie
„Kwiat je śmigał palmy!“

W oczach Greków moc zachwytu
Odzwierciedla duszę — od niej
Tyle hartu czuć i świtu
Widzieć da się, jak z błękitu
W noc od gwiazdy wschodniej.

Szmer radości nad tłumami
Przebiegł, wznosił się, i coraz
To potężniejszymi tchami:
„Wiemy! — krzyczą — między nami
„Żyje Diagoras!“

Lecz na próżno wziąć go chciała
Na ramiona młodzież rzezka,
Aby nieść w tryumfie: „Chwała!
„Cześć zwycięzcy!“... woła — cała
Młódź peloponezka.

Ale on już ociemniały,
Z srebrnym włosem, jak jagnięce,
Niby gołąb taki biały,
Gdy go setki unieść miały,
Wziąć się nie dał w ręce.

Lecz zawołał: „Wam Helleni!?
„Gdy łańcuchy perskie dzwonią,
„Krzesać skry wam nie z krzemieni,
„Ale kraść z popiołów, cieni,
„Świętokradzką dłonią?

„Z pochodzenia jestem Jonem,
„Ale nie z tej jońskiej psiarni,
„Co dziś Persów czci pokłonem;
„Myśmy ich pod Maratonem
„Czcili jak ofiarni.

„W bratobójczej walce w domu,
„Gdy wam strop nad głową gorze,
„Chcecie cześć oddawać — komu?
„Tym, co szli tu na kształt gromu
„I patrzali w zorze.

„Przez zakryte bielmem oczy
„Co mi wstyd wypalił do dnia,
„Widzę waszą pierś, co toczy
„Słabość, waszą dłoń, co broczy
„Wyuzdana zbrodnia.

„Nawet próchna stare bronią,
„Proch ze zwycięztw i oręży,
„Nie chce włos nad siwą skronią
„Być dotkniętym taką dłonią...
„Jutro — kto zwycięży!“

IV.

Rano z trąb heroldzkich pienia
I od płyt mosiężnych jęki
Uderzyły o sklepienia:
W tysiąc tonów, w tysiąc drzenia,
I w tysiączne dźwięki.

Nastał świt... Poranny świcie!
Ty, co nad elidzką ziemią
I na kronosowym szczycie
Obumarłe budzisz życie,
W tych, co we śnie drzemią.

Wschodząc nad stadionem, z piasków,
Z lotnych ziarn co depczą palce,
Możesz ostrogami brzasków,
W cieniu oliwkowych lasków,
Wzmacniać lud we walce.

Już zbudzony przez waltornie
Zanoszące ranne hymny,
Spieszył lud na altis kornie,
Cichy, niemy... lecz pozornie
Tylko taki zimny.

W jego wnętrzu, o! skradziona
Hefaistosa głownia tli się,
Która wtenczas buchnie z łona,
Skoro wyzwie ich imiona
Archont na altisie.

Przodem hufiec Zeusowy
Pozłociste trzęsąc dzidy,
Szedł, na tarczach niósł lwie głowy:
Dalej orszak archontowy,
Wszyscy z miast Elidy.

A w pośrodku, poprzed starce,
Diagoras z siwą głową...
Nie spoglądać mu na harce,
Ani nieść już w sennej arce
Gałąź oliwkową.

Idzie: dwóch pod ramię synów
Wiedzie go, a małe dziecię
Palmę niesie na znak czynów,
Drugie listki czknie z wawrzynów
I do stóp mu miecie.

Za starszyzną w takt rytmiczny,
Postępował z gymnazyonu
Tłum młodzieży, taki liczny
I dorodny, jak pszeniczny
Kłos pełniutki plonu.

A już dalej oko zginie,
A wolnego nigdzie kątu
Nie wynajdzie na równinie,
Taka moc narodu płynie
Z mórz i z Helespontu...

Cześć ci Zewsie! Na agorze,
Kędy stał ów bóg niebieski,
Jego ołtarz w słońcu gorze
I złocone ma naroże
Przez promienne freski.

Cześć Pelopsie! co przybyłeś
Między olimpijskie bóstwa,
Z tej krainy, gdzie znosiłeś
Razem z ludźmi trud — i siłęś
Miał na wrogów mnóstwa.

Cześć ci Hero w swej świątyni!
Cześć wam wszystkie bogi!
Pokłaniali się Greczyni
I ciskali do naczyni
Kwiat, na żar, na stogi.

Z Metroonu, złoto - szczery,
Pełny kłos wplatając w wianki,
Z wrzecionami wyszły cztery
Służebnice Demetery:
Pól i łąk kapłanki.

Aż stanęli na stadionie...
Na stadionie cisza nagle
Zasklepiła oddech w łonie,
Jako wiatr, gdy w przystań wionie
I pozwija żagle.

V.

Wielokrotne już sygnały
Dały znak na polu bitwy,
Gdzie się ścierać z sobą miały:
Dłoń żelazna, jako strzały
Stopy wśród gonitwy.

Ustąpiła z placu warta;
Wszedł zaś mistrz i sędziów rada:
„Grecy! Sześćdziesiąta czwarta
„Z dniem dzisiejszym jest otwarta —
„Wielka Olimpiada.

„Dajże! nam pogodę, z łuny
„Blask niezamącony niczem,
„Ty! co kładziesz dłoń na struny
„Wichrowate i pioruny
„Wydobywasz biczem.

„Niech pogodny widok nieba
„Wroży dnie szczęśliwsze, inne;
„Grecyi ludzi dziś potrzeba:
„Z ciał hartownych — kawał chleba,
„Z pragnień — grona winne.

„Stańcie młodzi do szeregu
„I odkryjcie piersi wasze,
„Nie ukute z bryły śniegu,
„Coby pot roztopił w biegu,
„Zanim liść opasze.

„Jedno z ścięgn Herkulesowych
„Na ramionach swych pokażcie;
„Mocny duch na barkach zdrowych,
„Jest podobny do różowych
„Flag, na silnym maszcie.

„Dalej dziatwo! z skał Tajgetu
„Na toś tylko niestrącona,
„Bo cię Grecya widzieć chce tu,
„Jak z atletycznego grzbietu
„Rośnie jej obrona.

„Najprzód stańcie wy harfiarze
„I zagrajcie tak wymownie,
„Aby ze strunami w parze
„Powstawały czujne staże —
„Dziejom na widownie“.

Gończa pieśń, już kłusem tonów,
Leci, gra na uczuć smyczy,
Aż odsłoni z pod welonów:
Kolor tęcz i zapach klonów,
Cały zdrój słodyczy.

Delis, już ostatni piewca
Z wybranego grona wstąpił;
W ręku niósł cedrowe drzewca
Dźwięcznej lutni – i jak siewca
Ziarn im nie poskąpił.

Z razu lud go nie pojmuje,
Nie rozumie pieśni zgrzytu,
Której w głębiach swych nie czuje;
Woli tę co piorunuje,
Ale wciąż z błękitu.

A on stąpał tam ozuty,
Gdzie i oko patrzeć nie chce
I gdzie dreszcz przechodzi luty
Myśli rdzeń — i gra dopóty,
Aż ten zmysł połechce.

To już nie są Pindarowe,
Czarujące, lecz pochlebcze
Szumy gajów oliwkowe;
Jego pegaz ma podkowę,
Którą ziemię depcze!

Po szkieletach ludzkich dzwoni,
Charonową strofą pali,
Ale z nieuschniętej dłoni
Chełpi czyn, co na świat goni
Po eolskiej fali.

Gromi lud za wojnę bratnią,
Za spaloną Potideję,
Nie pogardzi jeszcze świat nią:
Pers, Macedon... lecz ostatnią
Jest — bo gasi dzieje!

Ó! szczęśliwaś Grecyo młoda
I ty olimpijska Elis,
Może ci tu rękę poda
Lud, bo grzmi okrzykiem: zgoda!
Słychać: „Delis! Delis!“

Z buleuterion mistrz obchodu
Wyszedł, kędy ludu masa,
I zwrócony do narodu,
Rzekł: „Zwycięzcą Delis z Rodu —
„Syn Diagorasa!“

Lecz na chwilę tylko krótką,
W biegł, zawładnął podziw ludem,
Jako orkan piersią rzutką,
Bo już herold grzmi pobudką,
Nowych zwycięztw trudem.

Na stadionie, z ciał rumieni,
Z żywej, nie z palonej cegły
Stanął mur — ze dwóstu pieni!
A podobni do jeleni,
Każdy taki biegły.

Od lewego skrzydła, z boku,
Wdarł się Grek... Już staję zmierzył
Jednem posunięciem wzroku;
Że mu sił nie braknie w skoku,
W to najmocniej wierzył.

Zanim z wiatrem puści cugi
I przeleci plac ten śmiało,
Nardu go pokrzepią strugi;
Więc opuścił chition długi
I obnażył ciało.

Co za kształty! jaka goleń!
Czyje wyrzeźbiało dłuto
Piersi greckich tych pokoleń?
Chyba jeden Fidyasz zdolen
Tak wyrzeźbiać suto.

Patrzą starzy, patrzą młodzi;
Powściągliwe oko dziewki
Po tych złotych liniach wodzi
I pytają: kto go rodzi?
Taki zdrów i krewki!

Czekał Tyros i oczyma
Rozpoznawał swych rywali:
Który w biegu mu dotrzyma,
Który tak, jak on nadyma
Płuca, wiatrem pali

Że mu w piersiach kręgi sklepu
Rozszerzają się i rosną
Jak rozdarte od oszczepu,
Żeby mógł w nie wdąć ze stepu
Całą otchłań wiosną.

Zgiął się w łęk... i wnet od stanu
Skołysawszy wiotką kibić,
Był podobny do majdanu
Napiętego, do taranu
Co ma otwór wybić.

Już, już lecą w cwał rumaczy!
Niedościgły, nieskiełzany;
Nawet wzrok ich nie osaczy,
Bo za nimi ślady znaczy
Wiatr, co dmie tumany.

W równej linii biegł z Tyrosem
Jeden tylko Grek z Mykiety;
Między nimi walka losem,
Temu skroń uwieńczy kłosem,
Kto z nich wpierw u mety.

Więc się zmierzą na arenie,
Na ostatek sił, co powie:
W czyich piersiach trwalsze tchnienie,
Tęższa krew, u nóg rzemienie
I czerstwiejsze zdrowie.

Biednyś ty! którego żalem
Opiewają usta gminu,
Że się zmierzyć chciał z rywalem,
W lot z Tyrosem! a pod palem
Padł — i bez wawrzynu.

Słabym nie iść po chodniku!
Tam, gdzie skrzydła orlonośne
Tylko równych wodzą w szyku.
Słyszysz! ty Mikietańczyku
Te okrzyki głośne?

Z buleuterion mistrz obchodu
Wyszedł, kędy ludu masa,
I zwrócony do narodu,
Rzekł: „Zwycięzcą Tyros z Rodu —
Syn Diagorasa!“.

Fala ta co w metal trąca,
Od tej być nie mogła czystsza,
Równie dźwięczna, tak gorąca,
Jako ta, co tu z tysiąca
Łon zgłuszyła mistrza.

Poświęcony gołąb Herze,
Niosąc liść oliwny w dzióbie,
Ku niebieskiej atmosferze
Wzbił się, śnieżnobiałe pierze
Wiatr mu z piersi skubie.

Dzisiaj jeszcze, za nim słońce
Obróci się do zachodu,
Jego skrzydła szybkie gońce!
Mórz Egejskich z lecą końce,
Sławę głosząc Rodu.

VI.

Słuchał starzec w oddaleniu,
Jak rodzone jego dzieci,
Cały naród w uniesieniu,
Wywołuje po imieniu
I w tę stronę leci.

Oto najprzód dwaj synowie
Przylecieli doń — a oni
Pierwsi w Grecyi dziś Grekowie,
Mieli liść w pleciony w głowie,
Dookoła skroni.

Pochwycili ojca w ręce,
Przycisnęli do ramieni...
Słodkie muszą być dziecięce
Podarunki, co w podzięce
Niosą zasłużeni.

Po nad głowy, wyżej w górze
Niosą go już!... Lud zebrany
Ciska im kwitnące róże,
Z ramion płaszcze na podnóże
Ściele jak dywany.

Wraz delficki chór pieśniarzy
Hymn zwycięzki zagrał hucznie;
Ruszył pochód: młodzi, starzy,
I heroldzi szli ze straży
Pochylając włócznie.

A na ręce, dzieci swoje
Brały matki: z trudów, znojów,
Pokazując im te zbroje,
W jakich Grecya idzie w boje
I powraca z bojów.

Diagoras wzniósł do góry
Jako lew oślepły oko,
Chciałby jeszcze sam pazury
Nieść do walki, rwać na wióry
Ciemny strop wysoko.

Zdało mu się, że już dnieje,
Że to nie był czad źrenicy,
Tylko szedł przez głuchą knieje
Gdzie nie rąbią drzew nadzieje —
Ale niewolnicy...

Orszak ludu stanął właśnie
Przed Zeusa uroczyskiem;
Na ołtarzu ogień gaśnie,
Tli, czasami jeszcze draśnie
O filary błyskiem.

„Nie zagasnąć ci, zpopielić!
„Ale w hefaistowej sile
„Wstać! potrafić nią obdzielić,
„Wcały naród grecki wcielić,
„To, czem są Achille.

„O! potężny krzesicielu,
„Życiodajny twórco! łożysz
„Moc w odrastającem zielu,
„A miałżebyś dać niewielu,
„Z tego, co sam tworzysz?

„Więc i wy na wielkim stosie
„Złóżcie swych trofeów liście,
„Pierwszy rzuć na stos Tyrosie.
„I ty Delis, przy odgłosie
„Trąb — czy słyszeliście?

Buchnął dym... W strumieniu nowym
Przetopiony żar tych żywic,
Nad posągiem Zeusowym
Oblał światłem rubinowem
Fryz kolumn i krzywic.

Okrzyk ludu bił raz po raz,
Że aż głuszył huk przeciągu:
„Diagoras! Diagoras!...“
A on bledszy był i coraz
Bielszy od posągu.

Jeszcze wzniósł, jak dwie kolumny,
Dwoje rąk ku szczytom nieba,
Dołem okrzyk słyszał szumny,
A on pewny był i dumny,
Że się dotknął Feba.

A on dzieci ulubione
Już chwiejącą ręką musnął,
I przechylił się na stronę,
Na Tyrosa obnażone
Ramię padł — i usnął.

Stefan Komornicki.

ECHA POLSKIE.

Upraszamy uprzejmie czytelników naszych, zarówno lwowskich jak i prowincyonalnych, o dostarczanie nam faktów z życia publicznego, mogących interesować szerszy ogół, a z tego powodu zasługujących na podniesienie. Z każdej dziedziny życia, z każdego zakątka będą one zawsze pożądane, byleby tylko nie posiadały charakteru osobistego. Fakty zasługujące na skarcenie publiczne jakoteż na publiczną pochwałę nie powinny być trzymane w tajemnicy. Dlaczego? Chyba nie potrzebujemy dowodzić tego w obec uczciwych ludzi.

Bieda galicyjska i ofiarność publiczna. — Czuła opieka „Szulvereinu“. — Ciemnota ludu przed sądem krakowskim. — Śruba podatkowa. — Pierwsze dobrodziejstwo ministra — rodaka. — „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość“. — Zapowiedź beletrystyki swojskiej. — Prośba patronki Turyngii. — Popisy uczennic i reklama przełożonych.

Słyszymy ciągłe utyskiwania na ubóstwo Galicyi. Prawda, bardzośmy biedni, materyalnie i moralnie. W chwilach powodzenia lub względnego spokoju jesteśmy niezaradni tą apatyczną niezaradnością, która w stanie jest człowieka do rozpaczy doprowadzić; w chwilach nieszczęścia publicznego — obojętni na to nieszczęście. Społeczeństwo, które nie poczuwa się do potrzeby samoobrony, mając do tego ręce zupełnie wolne, chyba nie jest ani zdrowem, ani silnem, ani rozumnem.

Rzućmy okiem na fakty, ilustrujące powyższe słowa. W ciągu ostatnich trzech lat pożary przyniosły w Galicyi stratę w budynkach na 13 milj. zł. reń., z tego było zaasekurowane tylko na 4 milj., a zatem co roku idzie z dymem na trzy milj. pracy ludzkiej. Wylewy rzek co roku drugie tyle strat przynoszą, nielicząc lat wyjątkowych, kiedy wysokość klęski sięga do dziesięciu milionów.

I cóż się dzieje?

Rząd daje kilkaset tysięcy zapomogi i z ojcowską miłością ściąga podatki z tych, którym brak chleba na wyżywienie.

A my?

Komitet obywatelski, zbierający datki na rzecz dotkniętych powodzią tegoroczną, ogłasza, że zebrano dotąd 18.040 zł. reń.

O, jesteśmy bardzo ubodzy w miłosierdzie publiczne! Dowodzi to tylko że strona humanitarna naszego społeczeństwa zupełnie jeszcze nie wykształcona. Nie umiemy się ratować wspólnemi siłami. Może Sejm, obradujący obecnie, obmyśli jakie środki ratunku na wypadek klęsk — po za projektami regulacyi rzek.

Oświata ludowa w Galicyi zyskuje coraz to nowszych zwolenników! Tym razem nasze miasto Gdańsk, niezapominając widocznie o swej historycznej przeszłości i poczuwając się do obowiązków względem innych dzielnic polskich, sprawiło nam miłą niespodziankę, wysełając „na gwiazdkę“ do Galicyi, niekosztowny wprawdzie ale niemniej słodki podarunek. Myliłbyś się jednak, czytelniku, sądząc, że otrzymaliśmy ztamtąd, kańciastą flaszkę gdańskiej złotówki lub kawałek piernika toruńskiego, gdy tymczasem, niewiemy tylko jaką drogą, nadeszła do nas aż od morza Bałtyckiego, szczypta oświaty... co prawda w pięknej etykiecie Schulvereinu niemieckiego. Potężny berliński „Związek szkolny“, obracający wielkimi kapitałami, posiadający liczne filie przedewszystkiem w polskich prowincyach, ni ztąd ni z owąd czułem okiem strzelił po za granice państwa niemieckiego — do Galicyi.

Filia gdańska, na ostatnim Walnem zebraniu Związku, z nadzwyczajną troskliwością obchodziła z kagańcem w ręku „ciemny kraj analfabetów od Białej po Kołomyję“, poszukując u nas za śladami zagrzebanej karawany niemieckiej. Jednogłośnie uznano, że niemczyźnie grozi wielkie niebezpieczeństwo na całem Podkarpaciu, a już najbardziej w Kołomyi — prawdopodobnie od Hucułów. Postanowiono zatem wziąć w opiekę szkoły niemieckie w Galicyi, na razie wyasygnowano 200 mk. na podtrzymanie szkoły kołomyjskiej, której stadyonowskie węgły, zaczęły już próchnem świecić.

Dalecy jesteśmy od tego, aby w zapalczywości stronniczej, ośmieszać to szla-

chetne czucie na bieg spraw narodowościowych, u kogokolwiek ono powstaje; ale jednocześnie, podnosząc samą zasadę, niemożemy się pozbywać tej czujności, która kontrolować powinna i najidealniejsze cele, bo doświadczenie niejednokrotnie nas już nauczyło, że pod tym płaszczykiem przemycano do nas nieraz moralnie nieoclony towar obcych i wrogich nam uroszczeń. W świeżej zaś mamy pamięci butne stanowisko, jakie zajął magistrat Białej w obec naczelnej władzy krajowej. Czy nie tędy szła przypadkiem droga z Gdańska do Kołomyi? bo nie przypuszczamy, aby zboczyła aż na Floridsdorf pod Wiedniem.

Proces krakowski o zaburzenia w Poznachowicach pod Bochnią smutkiem musi napełnić duszę każdego życzliwego ludowi i szczerego patryotę.

Przed sądem stoi 118 włościan (między nimi 28 kobiet) a winą ich główną ciemnota i przesąd. Kiedy w r. 1892 z powodu wybuchu cholery starostwo w Wieliczce zarządziło różne środki, mające na celu zapobieżenie wybuchowi względnie rozszerzaniu sią cholery, włościanie w Poznachowicach, Lipnikach i Wiśniowej oparli się tym zarządzeniom. Powstało niezadowolenie i rozdrażnienie, rozeszły się wieści, że komisye sanitarne niszczą żywność, polewając ziemniaki i zboże kwasem karbolowym, tłuką stare garnki i palą starą odzież.

Nic nie pomogły wyjaśnienia i uspokojenia ze strony komisyi, nie pomogła interwencya żandarmeryi — rosły zbiegowiska, rósł opór i nastąpiły starcia z władzą, co biedny ten tłum zaprowadziły aż na ławę oskarżonych.

I oto stoimy w przededniu XX. wieku! I oto dziesiątki lat pracujemy nad oświatą ludu!

Jak smutno na duszy w obec takich rezultatów dotychczasowej pracy! Niech ten widok setek biednych, ciemnych, cierpiących jedynie za tę ciemnotę — pobudzi nas do tem silniejszej pracy celem wydobycia naszego ludu z tej strasznej toni.

Czy to możliwe? pytamy z niedowierzaniem, a jednak sporo już dni upłynęło od czasu, kiedy wiadomość ta pojawiła się w Gazecie Przemyskiej a potem obiegła inne dzienniki, i nikt jej nie sprostował, nie zaprzeczył.

Czy to możliwe? pytamy tem bardziej teraz, kiedy z ust namiestnika usłyszeliśmy na sali sejmowej zapewnienie, że pogadanki o śrubie podatkowej, cisnącej bez wszelkiej wyrozumiałości, są nieuzasadnione, że administracya skarbowa nie dopuści do żadnej krzywdy, żadnego nadużycia i że z życzliwością dla dotkniętych postępować będzie.

Lecz oto fakt sam, jak go pisma podały: Wioska górska Sufczyna, zniszczona powodzią i pożogą, pogrążona w ostatniej nędzy, nie mogła spłacić podatków zaległych. Władza, nie oglądając się na tę nędzę i na klęski elementarne, zesłała egzekutora, aby zagrabił resztki dobytku.

Cóż mógł wybrać? Kożuch, pokrywający wynędzniałe ciało, poduszczyzny, na której spoczywają głodne dziatki, ostatnią krowinę z obory... Posmutniały oblicza włościan i złożyli radę, bo „cesarskie“ trzeba przecie zapłacić. Wynik był taki, że udano się do żyda karczmarza i sprzedano mu plony spodziewane. Egzekutor pobrał pieniądze, lecz jak w Sufczynie lud przebędzie przednówek, czem zasieje rolę na wiosnę, to Bóg chyba wie.

Czy to możliwe? pytamy raz jeszcze. A jeżeli tak było, jaka smutna illustracya dla owej wyrozumiałości władzy.

Mamy już pierwsze dobrodziejstwo dla kraju z rąk ministra — rodaka, zarządzającego obecnie wydziałem oświaty. Dziwna rzecz, że wspaniałomyślny ten akt nie został wcale dotychczas dostrzeżony i należycie oceniony przez prasę i ogół. Wszak to rzecz niepośledniej wagi — garstka wybrańców narodu ocalona od zetknięcia się z pospolitym tłumem przez cały przeciąg czasu, kiedy młoda dusza, najwrażliwsza na złe wpływy, łatwo mogłaby się skazić od tchnień demokratycznego motłochu.

Górą OO. Jezuici! Już teraz pierwszy oddział nie potrzebuje poddawać się egzaminowi przemądrych świeckich profesorów i doznawać niezasłużonych upokorzeń.

Pan Minister uznał, że zakład Chy-

rowski stoi na wysokości swego zadania, że młodzież tam wychowywana jest bogobojną, znakomicie umie tańczyć, ma własną orkiestrę i chór, doskonałe urządza przedstawienia, że wreszcie mundurki szkolne są doskonałe, i w uznaniu wszystkich zasług nadał zakładowi OO. Jezuitów w Chyrowie prawo zakładu publicznego, prawo odbywania egzaminów dojrzałości i wystawiania ważnych w całem państwie świadectw maturalnych.

Paulatim summa petuntur.

„W setną rocznicę drugiego rozbioru Polski 1793—1893“. Pod powyższym tytułem ma się ukazać niezadługo, w rocznicę Kościuszkowską, książka pamiątkowa, zawierać mająca treściwy obraz dziejów porozbiorowych Polski. Z dziejów naszych epoka ta, sławna z usilnej pracy patryotów dla odrodzenia Ojczyzny i walki zbrojnej narodu o niepodległość, niewątpliwie najważniejsza, a najmniej znana ogółowi polskiemu, po raz pierwszy przedstawiona będzie w całości. Książka pamiątkowa oddana do opracowania zaszczytnie znanemu w literaturze naszej historykowi, składać się będzie z trzech części. W szczególności, część pierwsza, poprzedzona wstępem z poglądem na przeszłość państwową Rzeczypospolitej aż do jej upadku, zawierać będzie w dwunastu osobnych rozdziałach zabiegi patryotów z trzech zaborów celem odrodzenia Ojczyzny, ruchy rewolucyjne Polaków w kraju i zagranicą, tudzież walkę zbrojną narodu z szczególnem uwydatnieniem powstania Kościuszkowskiego, Legionów polskich, powstania narodowego w 1830 i 1863 roku, wreszcie w tej części zaznaczoną będzie działalność narodowa w ostatniem trzydziestoleciu we wszystkich dzielnicach polskich. Część druga obejmie kalendarz pamiątkowy z chronologicznem podaniem dat z dziejów porozbiorowych jak pamiętnych bitew, założenie narodowych instytucyi, urodzenia i śmierci znakomitych Polaków itp. Część trzecia poda treściwą geografię Rzeczypospolitej polskiej z dawnym podziałem na województwa i nowym, przez rządy najezdnicze dokonanym, wraz z datami co do ludności w tych ziemiach zamieszkałej. Niezależnie od tego zamierzają wydawcy książkę pamiątkową, w tysiącach egzemplarzy przeznaczoną w celach propogandy narodowej, zaopatrzyć licznemi illustracyami, zwłaszcza wizerunkami zasłużonych patryotów, co ze względu na znaczne koszta wydawnictwa zawisło od szczodrobliwego poparcia rodaków. W tym względzie Redakcya „Słowa Polskiego“ ofiarowuje swoją gotowość do pośredniczenia.

Gazeta Narodowa zapowiada od nowego roku wydawnictwo Bilioteki, jak się zdaje, wyłącznie belletrystyce poświęconej, i w tym celu pozyska współpracownictwo T. T. Jeża, jakoteż Abgara Sołtana. Obyż nareszcie stało się to początkiem wyzwolenia naszej literatury od potopu przekładów, jakiemi zarzucają nasze piśmiennictwo, amatorowie korzystania z cudzej pracy — za tanie pieniądze. Takich wydawców możnaby porównać do szynkarzy: oni wiedzą o tem, że sprzedają truciznę, a jednak sprzedają, bo towar idzie. Handel księgarski w tym kierunku tembardziej ułatwiony, że ci, którzy sprzedają truciznę fizyczną, są pod kontrolą prawa, ci zaś, którzy moralnie zatruwają społeczeństwo, uchodzą często za jego dobrodziejów.

Może biblioteka Gazety Narodowej przyczyni się choć w części do rozbudzenia swojskiego czytelnictwa.

„Drodzy współwyznawcy! Święta Elżbieta, patronka *Turyngii*, prosi Was o mały podarek świąteczny, mały kamień węgielny na wybudowanie kościółka w Gera (Reiss). Gera jest najuboższą gminą w całej Saksonii i Turyngii“...

Wiemy, że w Turyngii jest kilkanaście tysięcy ludności słowiańskiej; jeżeli to oni błagają was o litość, to jużci pomódz im należy; ale jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że to Niemcy tak nas czule o jałmużnę proszą; Polacy w ten sposób nie odezwaliby się do Polaków.

Z czystem sumieniem możemy im przeto odpowiedzieć:

Drodzy współwyznawcy! A gdzieście wy byli, gdy naszą ubogą ludność głód dziesiątkował na Śląsku, gdy u nas po-

wódź ostatnia, przyniosłszy milionowe straty, dwa miliony ludności pozostawiła bez chleba, bez paszy dla bydła i bez ziarna na posiew? Czy wasze serca litościwe zakołatały do rządu o pomoc, gdyście się dowiedzieli, że w Krożach Moskale kasowali kościoły, mordowali waszych współwyznawców i wywozili na Sybir?

Miłosierdzie i prawo przypominacie dopiero we własnej biedzie...

Dajcież nam spokój drody współwyznawcy!

Jeżeliś czytelniku żądny wrażeń estetycznych i chcesz wiedzieć, gdzie prawdziwy artyzm kwitnie, czytaj, proszę, choćby czasem korespondencye z prowincyi.

Dowiesz się np. ciekawych rzeczy o Złoczowie (Dzien. Polski Nr. 8). Istnieją tam tak świetne zakłady naukowe (żeńskie) i tak gienialne uczennice, że najtrudniejsze utwory muzyczne już w powijakach wykonywują bez zarzutu.

Dziesięcioletnia panna M. K. (uczennica pani N. N.) odgrywa ze subtelnem cieniowaniem Nocturny Richarda— trzynastoletnia E. S. (uczennica pani X. X.) wprawia w podziw techniką gry i dokładnością wyrównania, ośmioletnia O. L. gra solo fortepianowe Kullaka śmiało i z precyzyą. Dziewczątka sześcioletnie (!) (uczennice pani Y.) spiewają tak świątnie, że muszą aż powtarzać swój spiew.

Jednem słowem istny raj na ziemi dzięki staraniom pań N. X. Y., a wrażenie dla publiczności imponujące i dochód pokaźny z tej duchowej biesiady dla biednych dzieci.

„Dla biednych dzieci“ cel istotnie tak piękny, godny naśladowania. Dzięki za trudy szlachetnym inicyatorom i wykonawcom! Lecz pocóż tę szlachetność przyćmiewać blagą, reklamą dla nauczycielek i po co w młodziutkich duszach budzić niepotrzebne ambicyjki i próżność?! A jak często ta choroba grasuje w sprawozdaniach i korespondencyach z uszczerbkiem dla spraw ważniejszych, o których nikt słówka nie piśnie.

PRZEGLĄD LITERACKI.



Wszystkich pp. księgarzy, w rozmaitych dzielnicach Polski zamieszkałych, upraszamy o nadsełanie swoich wydawnictw do Redakcyi Słowa Polskiego. O każdej książce zamieścimy sprawozdanie krytyczne, notatkę lub wzmiankę bibliograficzną, stosownie do potrzeby lub wewnętrznej wartości książki. Poważne dzieła znajdą krytyczną ocenę. Zwracamy na to uwagę panów księgarzy, gdyż tylko przy ich współdziałaniu możemy wywołać żywe zainteresowanie się literaturą ojczystą, co zarówno literaturze jak i księgarzom na pożytek wyjść musi.

Maryan Gawalewicz: Mechesy, powieść, Warszawa 1892.

Niedawno, pisząc o wybitniejszych naszych powieściopisarzach współczesnych w Wieku XIX.,*) o autorze Mechesów powiedziałem, że grzeszy on brakiem dostatecznej energii i dramatyczności. Bywa to niekiedy wadą zasadniczą talentów pisarskich.

Przed kilku laty w jednem ze sprawozdań krytycznych wypowiedziałem zdanie, że śród spółczesnych powieściopisarzy, jednego Gawalewicza chyba mógłbym porównać z Józefem Ignacym Kraszewskim, nie pod względem produkcyjnośei pracy i wszechstronności, lecz cech psychicznych jego talentu. Od tego czasu talent autora Mechesów zyskał bardzo wiele znamion dodatnich, ale zasadnicze rysy podobieństwa były zawsze jednakie. Niechcę się wdawać w analizę porównawczą obydwóch pisarzy, z których jeden dosięgnął już szczytów twóczości i sławy, a drugi do tych szczytów dąży; nie mogę jednak nie powiedzieć, że jedną z cech, charakteryzujących wszystkie utwory sztuki Kraszewskiego było — brak siły. Nie ubliża to w niczem wielkiemu pisarzowi, nie ujmuje mu ani sławy, ani zasług, ale ten rys indywidualny, którego genezy nie chcemy badać, odbijał się w większej lub mniejszej mierze na całej jego twórczości artystycznej. Posiadał on organizacyę nieco nerwową, miękką, powiedziałbym kobiecą, znał i malował kobiety doskonale, ale wielkie cierpienia, wielkie wstrząśnienia duszy, schowane, niewidzialne, wychodziły u niego blado.

*) Otto Leixner: Wiek XIX. 2 t. Warszawa u Gebęthnera i Wolffa.

Pierwsze powieści pana Gawalewicza, przy pewnych zaletach artystycznych, miały taką samą wadę. Upatrując przeto w pisarzu brak dramatyczności i wypowiadając to zdanie, pozwoliłem sobie na uogólnienie zbyt śmiałe. I zostałem ukarany za to tylko, że na chwilę zapomniałem o doświadczeniu innych. Stało się ze mną to, co się ze współczesnymi prorokami zdarza niekiedy — muszą odwoływać swoje proroctwa, jeżeli mają odwagę i... jeszcze odrobinę czegoś.

Krótko mówiąc, wydałem sąd za pospieszny. Wielcy ludzie i wielkie talenta rodzą się, tego żadna teorya naukowa zaprzeczyć niezdoła, ale bez usilnej i wielkiej pracy marnieją. Stopniowe kształcenie daru bożego — talentu i stopniowe kształcenie się człowieka, pozwala dosięgnąć wyżyn, z których już światło byle kto zobaczy. Nikt po pierwszych powieściach Kraszewskiego — Wielki świat małego miasteczka, Pan Walery i inne nie przewidywał, że ten sam pisarz da Starą baśń, a tymczasem Grabowki wytrawny krytyk, radził mu ażeby przestał pisać powieści. Piotr Chmielowski, którego bezwątpienia zaliczyć wypada do najznakomitszych krytyków naszych, E. Orzeszkowej odmówił w początkach jej zawodu wszelkiego talentu, — no, a wiemy przecież, czem był Kraszewski, a czem jest E. Orzeszkowa.

Przeczytawszy tedy Mechesów Gawalewicza, przekonywam się, żem niesłusznie posądził autora ich o brak siły dramatycznej.

Całą tę powieść można nazwać wielkim dramatem społecznym, którego doniosłość i znaczenie nie są jeszcze ocenione należycie. Gawalewicz w Mechesach wysunął ten dramat na główny plan i jako objaw nader ciekawy z naszego życia społecznego, zanalizował w powieści. Podniósł on tu mianowicie stosunek żydów przechrztów, Mechesów — do społeczeństwa.

Zanim kilka uwag o powieści, o charakterach ludzi w niej działających powiem, muszę wpierw treść jej przytoczyć najkróciej.

Bogata, wychrzczona rodzina Sandsteinów, związana niegdyś węzłami spółki z inną takąż samą rodziną Sammetów, z którą się jednak przyjaźń zerwała, dążyła do coraz większego rozszerzenia swoich stosunków towarzyskich i to w takim kierunku mianowicie, który dogadzał najbardziej próżności tylko. Nigdy w żadnym z Sandsteinów nie powstała myśl, że bogactwo, zdobyte w pewnem społeczeństwie wkłada na szczęśliwych zdobywców obowiązki względem tego społeczeństwa, że to co błyszczy, ale nie świeci — nie wiele warte.

Szczytem ich marzeń było zbliżenie się ze sferą tak zwaną arystokratyczną — dopięli tego łatwo Los sprowadził do Warszawy zbankrutowaną rodzinę Łanieckich, goniącą ostatkami; on — pospolity marnotrawca, ona — hrabianka Zabiełowska z domu. W Warszawie mieszkał jej ojciec, stary hr. Zabiełowski i brat hrabia Adam. Na wychowaniu zaś mieli hrabiankę Zabiełowską Tolę, której majątku opiekunem był Łaniecki. Dwie rodziny tedy — Sandsteinów i Łanieckich, lekceważąc się wzajemnie, szukały się wzajemnie; Łanieccy potrzebowali pieniędzy, Sandsteinowie — towarzystwa arystokratycznego. Pozatem majaczył inny projekt: Sandsteinowie mieli syna Bernarda, Łanieccy do wymiany za pieniądze posiadali Tolę. Siostra Sandsteina, Vossowa wpadła pierwsza na pomysł skojarzenia małżeństwa — i skojarzyła. Wszystko poszło jak najlepiej. Stary Sandstein nawiązał stosunki ze starym skąpcem hr. Zabiełowskim i namówił go do wzięcia udziału pieniężnego w instytucyi niby finansowej niby filantropijnej, a w rzeczywistości w brudnym interesie, opartym na zdzierstwie ubogich ludzi, tak zwanym Tanim kredycie. Skąpstwo przeważyło, p. Hrabia do interesu przystąpił tajemnie. Potem skleciło się małżeństwo Toli z Bernardem, którą przekonać zdołano, że on namiętnie ją kocha — pojedynkował się jeżeli nie o nią to z jej powodu głównym zaś motywem była potrzeba poświęcenia się dla ratowania niby majątku Łanieckich, gdyż faktycznie majątek ten był jej własnym majątkiem, zrujnowanym przez opiekuna. Tola przyjęła tę propozycyę, niebardzo się nad jej doniosłością i skutkami zastanawiając. Pobrali się i — wyjechali za granicę.

Tymczasem Sandstein zdołał kupić Grzędy, majątek Toli, wystawiony na licytacyę, urządził tam dom, Łanieckiemu dał synekurę w Tanim kredycie i — czekał wnuka. Sammet, dawny wspólnik, z którego córkę Malcią chował się od dzieciństwa Bernard, urósł na wroga Sandsteina i dopomagał do jego ruiny. Nieudało się to mu. Ale to czego niemógł dokonać Sammet, ledwie nie dokonał wypadek. Stary hr. Zabiełowski umarł nagle, bez testamentu, nie rozporządziwszy funduszem; w ten sposób pieniądze zaangażowane w Tanim kredycie, bardzo znaczne, przechodziły do rąk hr. Adama, zdecydowanego antysemity na gruncie towarzyskim i Łanieckiego, zdecydowanego łotrzyka, któremu nie szło wcale o to, kto dostanie pieniądze, byle je dostać. Sukcesya

po teściu pozwalała mu zerwać z Sandsteinem, z którym miał zatargi o pożyczkę i stanąć po stronie hr. Adama. Zażądano kapitałów po hr. Zabiełowskim. To groziło ruiną Sandsteinowi, stąd pertraktacya z Tolą o pośrednictwo, zatargi familijne, nieporozumienie małżeńskie i wreszcie — separacya. Hr. Adam i Łaniecki tryumfowali. Tu niespodzianie przyszedł z pomocą dawnemu spólnikowi Sammet — pożyczył mu pieniądze na spłatę i spółkę odnowił. Z nią odnowiły się stosunki Bernarda z Malcią, która go skrycie i namiętnie kochała.

Autor nie zakończył powieści tak, jakby wymagać należało od utworu artystycznego. W chwili rozbudzenia głębszych uczuć w sercu Malci dla Bernarda, a w sercu Toli dla jednego z dawnych znajomych — Kulisza, autor opowiadanie urwał. Kilka słów jednak, zamieszczonych w końcu, objaśnia, że dalszy ciąg powieści nastąpi. Gromadkę więc ludzi, których p. Gawalewicz przedstawił nam w życiu towarzyskiem, będziemy mogli oglądać jeszcze w życiu publicznem, szerszem. To pozwoli nam ocenić ich charakter i zasady z różnych stron. Poczekamy.

Tymczasem i to, co jest, zewszechmiar na uwagę czytelników zasługuje. Charaktery i stosunki ludzkie, ich uczucia, ich stany psychiczne skreślone są prawie bez zarzutu, doskonale zaobserwowane w drobiazgach nader charakterystycznych, a przedstawione spokojnie i bez żółci — co już samo byłoby dowodem takiego usposobienia artystycznego, które większości czytelników dogadza. Otóż w tej równowadze umysłowej i psychicznej autora leży jedna z najkardynalniejszych przyczyn jego powodzenia i popularności. Inni: jak Prus, pisarz wielkich zdolności, jest w powieściach publicystą, Gawalewicz — malarzem, który w utworach swoich nie polemizuje, nie kłóci się z nikim, ale z okruchów za obserwowanych stwarza całość pewnych stosunków społecznych, całość plastyczną pod względem obrazów i charakterów, a niepoślednią pod względem idei przewodniej.

Typ chciwego skąpca, hr. Zabiełowskiego, zachwyconego dobrym interesem, zaproponowanym przez Sandsteina, a jednak czującego dla swego dobroczyńcy wstręt, nie powiem rasowy, ale kastowy, jego choroba, otoczenie, śmierć są przedstawione z wielką prawdą i miarą, wybornie uchwycony rys dumy — nie wiedzieć z czego — hr. Adama, w gruncie próżniaka; dobrze zaobserwowana lekomyślność, posunięta do podłości, Łanieckiego, namiętny temperament Malci, szlachetność Kulisza i Montaga, a pozorny chłód Bernarda i ten dramat, który czytelnik czuje w jego duszy, chociaż nie widzi. Postać Toli, wyrzeźbiona, można powiedzieć, pod względem artystycznym, iest mięszaniną uległości i dumy, której spokój zewnętrzny pokrywa burzę uczuć i myśli, szalejącą w głębi. Budzi ona w czytelniku na przemian uczucie sympatyi, żalu, litości a nawet wzgardy, gdy się ją widzi, poświęcającą dla pychy rodowej szczęście i spokój innych.

Krótko mówiąc, w M e c h e s a c h poruszył autor popularną u nas kwestyę żydowską, ze strony poważnej — nie z tej, z jakiej patrzy na nią idyotyczna R o l a lub utopiści, pragnący rozwiązać kwestyę społeczną i rasową za pomocą zmiany religii. Ani protestantyzm ani katolicyzm nie zmienia w przyszłości cech rasowych, nabytych długiemi wiekami życia i nie zmieni ich łączenie się z mohikanami, przeznaczonymi wcześniej lub później na wymarcie, grającymi licho wielkie role dziejowe, — ale zmienić może zlanie się z potrzebami i interesami społeczeństwa, którego cząstkę stanowią, zrozumienie i spełnianie obowiązków narodowych, ogólnych, czyli uobywatelnienie.

Powieść Gawalewicza dla tego nas tak żywo interesuje, że ludzie, których on przedstawia nie są bohaterami powieściowymi, przykrojonymi według tego lub innego szablonu. Życie tych ludzi, ich myśli i uczucia — to dramat społeczny, jak powiedziałem wyżej, gdzie bohaterami są dwa jego wielkie odłamy: z jednej strony żydzi, jako rasa, którzy zwyczajami i wykształceniem należą do sfery kapitalistów, którym jednak brak jeszcze świadomego obywatelskiego ducha; instynktownie zaś lub dla próżności pochylają się ku drugiej stronie, która nieprzewodzi już wprawdzie w s p o ł e c z e ń s t w i e pod żadnym względem, ale posiada jeszcze tytuły do przewodnictwa w t o w a r z y s t w i e — do zubożałej arystokracyi niby. Obydwom stronom brak czystości intencyi — stąd zawody, rozczarowania i w sercach szlachetniejszych cichy dramat, niby zakończony, ale czytelnik mimo woli pyta przy końcu ostatniej karty: co dalej będzie?

Takim dramatem są M e c h e s y, w którym bohaterami są klasy społeczne, a tymi co cierpią — ofiary stosunków osobistych i wyjątkowych, z jakich życie narodu się składa. *Fr. Rawita.*

SZTUKA.

Wystawa szkiców.

Zarząd lwowskiej „Wystawy sztuk pięknych“, powziąwszy myśl urządzenia dorocznej „wystawy szkiców“, trafił na furtkę do serca publiczności lwowskiej. Bo w czasie jej trwania, nietylko że więcej jest zwiedzających, ale nawet to i owo zakupione idzie do pomieszkań prywatnych, budzić zamiłowanie dla sztuki. Powodzenie zatem „wystawy szkiców“, jak się zdaje jest zapewnione.

W innem społeczeństwie dowodziło by to najwyższego wydoskonalenia się smaku artystycznego, wyrafinowania niemal, kiedy to już niepoprzestaje się na oglądaniu i podziwianiu skończonego dzieła sztuki, ale z przyjemnością śledzi się na szkicach pierwsze zarysy pomysłów artysty, utrwalone w pobieżnem malowidle poszczególne motywa, obserwacye, notatki niejako, które wcielone zostały w obrazy. Ale u nas gra rolę druga ostateczność i przeciwnie niż gdzieindziej, główną przyczyną powodzenia naszej „wystawy szkiców“ jest w zarodku zaledwo u ogółu tlejące poczucie artyzmu... i pomysłowość lwowskiej Reprezentacyi, która kształcenie smaku publiczności zaczęła — od końca!

Poszły więc na pierwszy ogień szkice, rzeczy niewielkie, do których zrozumienia i odczucia niepotrzeba zbyt wysokiego nastroju — a nadewszystko... tanie! Niechaj publiczność kupuje, niech chociażby tylko na razie w modę u niej wejdzie widzieć ściany zawieszone oryginalnemi rzeczami, a z czasem przywykną jej oczy do prawdziwej sztuki i dalej zamiłowanie to samo się rozwijać będzie.

W obec takich warunków „wystawa szkiców“ musiała się u nas przetworzyć, i obok „szkiców prawdziwych nie małą jej część zajmują skończone nieraz obrazy, zwłaszcza artystów młodych, którzy tą drogą zwracają na siebie uwagę publiczności, szukającej w zwykłych warunkach na obrazach znanych podpisów.

Samo choćby tylko wyliczenie, nie mówiąc już o ocenie kilkadziesięciu rysunków, akwarel i olejnych malowideł zapełniających i tego roku salę „Wystawy sztuki“, zbyt wiele zajęłoby nam miejsca. Poprzestanę więc na pobieżnem wskazaniu wybitniejszych rzeczy. Tem bardziej, że w notatce tej nie chodziło tyle o krytykę utworów, z natury swej, jako po większej części przynajmniej „szkiców“, z pod krytyki się usuwających, jak raczej o podniesienie znaczenia samej tego rodzaju wystawy.

Pierwszeństwo na niej odebrał naszym artystom p. Boller, Niemiec, który sprowadzony został do Lwowa dla malowania krajobrazów w panoramie Kościuszkowskiej. Kiedym się przyglądał dwom polskim krajobrazom przez niego malowanym, ktoś obok mnie stojący szepnął: „Przecież to dziwna rzecz, że artysta niemiecki potrafił tak odczuć polską naturę“. Zdanie to w pierwszej chwili brzmi jak parodoks. Dlaczegożby bowiem artysta miał być czulszym na barwy i kształty w krajobrazie n. p. niemieckim, niż we włoskim lub polskim, dla tego tylko, że jest Niemcem nie Włochem lub Polakiem? A jednak do artystycznej przedmiotowości, że zapożyczymy tego wyrazu z literatury, zdolni są tylko prawdziwi, wyżsi nad poziom artyści. Zwykły „talent“, zaprawiwszy się na malowaniu jednej natury wpada w manierę i przenosząc potem na płótno obce krajobrazy, mimowoli zestawia ze sobą te same kolory i kształty, barwom nadaje to samo natężenie do jakiego przywykł. Stąd jeden i ten sam n. p. widok polski, malowany przez dwóch równego talentu i równej wprawy artystów, z których jeden by był Polakiem drugi zaś cudzoziemcem, najprawdopodobniej wypadłby na każdem płótnie bardzo odmiennie. U p. Bollera tej maniery niema.

Mimowoli nasuwa się porównanie jego rzeczy z małym „krajobrazem jesiennym“ Kochanowskiego. Być może, że tu więcej wprawy, daru kompozycyi, może nawet poczucia piękna niż u Bollera, ale jest maniera!

Przystępujemy do czterech szkiców, prawdziwych „szkiców“, dzięki jednakże wielkiej zdolności autorki, daleko po za sobą pozostawiających całe szeregi wykończonych obrazów. Mowa tu o czterech widokach morskich ś. p. Anny Bilińskiej. Mamy w nich dowód, co za wszechstronny był to talent. Bilińska zasłynęła jako portrecistka, a szkice wspomniane dowodzą, że byłaby podobne miejsce zdobyła sobie i wśród pejzażystów. Zwłaszcza szkic, przedstawiający wybrzeże morskie w słotę mimo całej prostoty wykonania, podbija odrazu widza głęboko odczutym nastrojem.

Dobrym jest „krajobraz“ olejny pana Kraszewskiego. Ale zdaje się mi, że to już czwarta rzecz tego artysty, przedstawiająca widok jesienny mglisty, a takie uparte trzymanie się jednego motywu bywa zwykle początkiem maniery.

Niepróbując nawet wyczerpać całego tematu, wspomnę jeszcze o wcale dobrej „Głowie kobiety“ Augustynowicza i o biuście Matejki, wykonanym przez artystę rzeźbiarza p. Antoniego Popiela, który wy-

trwałością, prawie zaciętością, w doskonaleniu się i pogłębianiu swego talentu poprostu imponuje! ...*ski*

Sprawozdanie teatralne.

Urocze oczy, komedya w 4 aktach Zygmunta Sarneckiego. Przedstawiona po raz pierwszy w teatrze lwowskim dnia 3. stycznia 1894 r.

„Urocze oczy". Pod takim tytułem dał nam Zygmunt Sarnecki czteroaktową komedyę zupełnie współczesną, moderne, niemal okolicznościową. Przymiotnik ten ujmy jej bynajmniej nie przynosi. — Utwory Arystofanesa, komedye Moliera, nawet — nie tak wielkich — Fredry i Korzeniowskiego, zachowały po dziś dzień w pewnych względach piętno „okolicznościowości", charakteryzując nietylko ludzi współczesnych, lecz także rysy i szczegóły natury ludzkiej, które przetrwały wieki i przewroty społeczne. Czy Sarnecki pochwycił w swym utworze rysy podobne? czy zdołał rzucić światło dotychczas nieznane na niektóre objawy duszy człowieczej, tak łatwo napozór ulegającej wpływom, a tak w rzeczywistości niezmiennej? krótkie sprawozdanie z treści komedyi i kilka uwag o charakterach i myśli przewodniej pozwolą nam ocenić wartość jej dostatecznie.

Akcya dramatyczna odgrywa się w r. 1883 i koncentruje się na wsi, w starym szlacheckim dworze owdowiałej kasztelanowej, matrony polskiej, cnotliwej, prawej, energicznej. Wychowuje ona przy sobie najmłodszą wnuczkę, Terenię, uosobienię polskiej dzieweczki, wzrosłej w atmosferze przesiąkłej miłością dla kraju, gdzie wierzą jeszcze w „uroki, cuda... w odrodzenie Ojczyzny". Dwie starsze jej siostry, zamężne od lat kilkunastu, zapomniały oddawna o tradycyach rodzinnych, o ojcu, który, „porwany zawieruchą", umarł na sybirskiej ziemi. Jedna jest żoną Szambelana, wielkoświatowca, mile widzianego na dworach petersburskim i berlińskim, a nie pogardzającego przy sposobności mianem dobrego Polaka, byle.. „w sekrecie". Druga wyszła za hrabiego, który po stratach majątkowych w epoce popowstaniowej nie mógł też dostrzedz innej drogi ratunku, jak pochylenie czoła przed władzą i objęcie karyery urzędniczej, w czem mu żona pomagała do awansu „sprzedając satrapom zamkowym uśmiechy, piękne słówka, uściśnienia ręki, spojrzenia"...

Dla uchronienia Tereni w przyszłości przed nagabywaniem krewnych i procesami majątkowemi, kasztelanowa przywołała do siebie wnuczki z mężami, mając zamiar sporządzenia w ich obecności testamentu, ku czemu zaprosiła też i rejenta, starego przyjaciela i powiernika swego. Cały majątek kasztelanowa przeznacza Tereni, a mężom sióstr starszych, którzy posagi żon dawno już stracili, ma być wypłaconą suma stu tysięcy każdemu, pod warunkiem... że zapośredniczą w wydaniu Tereni za księcia.

Ów książe Zdzisław jest postacią nieco zagadkową. W powstaniu odznaczył się bohaterską odwagą, następnie zasłynął jako lew salonowy, obdarzony we wzroku siłą hipnotyczną, której żadna kobieta oprzeć się nie zdoła, tembardziej, zdaje się, Terenia, podlegająca halucynacyom i snom proroczym. A dla zrujnowanego materyalnie i moralnie księcia, Terenia jest gratką nielada: duży majątek i dziewczątko piękne a niewinne: będzie mógł zaniechać starań o kameryunkrostwo. W oczach zaś kasztelanowej i Tereni otacza księcia urok poświęcenia dla Ojczyzny.

Lecz Terenia kocha wychowanka Rejenta, Ludwika, przeciwko któremu kasztelanowa żywi głębokie, choć niesłuszne uprzedzenie. W prostocie swej Terenia odczuwa otaczającą ją intrygę — według autora, we śnie jasnowidzącym; odtrąca całą siłą swej niewinności prąd hipnotyczny skierowany na nią uporczywie przez wzrok księcia, jedna sobie sympatyę Karli, szambelanowej, która już nietylko z uzasadnionego żalu do księcia, lecz i przez miłość siostrzaną pragnie uchronić Terenię od zagrażającego jej związku; wreszcie zwalcza niechęć kasztelanowej do Ludwika. Przekonany w końcu o bezskuteczności swych zabiegów, książe zwraca słowo kasztelanowej, która zezwala na związek Tereni z Ludwikiem, a pomimo to suma obiecana hrabiemu i szambelanowi wypłaconą im przez rejenta zostanie

Sądząc według fabuły, możliwie streszczonej, komedya Sarneckiego niewieleby się różniła od wielu innych. Wprawdzie nowym pierwiastkiem, wprowadzonym przez autora, jest ów hipnotyzm salonowy z jednej strony, owe sny jasnowidzące z drugiej. Naszem zdaniem wszakże, nie przyczynia się ta inowacya do podniesienia wartości utworu Przedwczesnem jest może w dzisiejszym momencie badań i wahań się naukowych, użycie hipnotyzmu w znaczeniu motoru dramatycznego. Owe sny, za pośrednictwem których Terenia poznaje przeszłość, przeczuwa przyszłość, zdaje sobie sprawę z charakteru osób nieznanych, otrzymuje ostrzeżenia z zaświatowych sfer, zjawiają się zanadto na zawołanie i nie

wydają się nam zbyt szczęśliwym pomysłem Lecz dramat Sarneckiego posiada inne cechy, inne zalety, które mu nadają głębszą i rzeczywistą wartość i powinny mu zapewnić stałe miejsce w ubogim naszym repertoarze sztuk oryginalnych.

Przedewszystkiem: myśl przewodnia. Następnie, charakterystyka osób działających.

Niewiele może pomylimy się twierdząc, że pierwszy raz mamy sposobność oglądania na scenie utworu poważnego, nie melodramatycznego, omawiającego szczerze i sumiennie stosunki zakordonowe. Przez zacisze wiejskie, patryarchalne, staropolskie, przesuwa się kilka osobistości przeniesionych ze świata wielkiego, i kontrast ten zasadniczy przyczynia się wybornie do uwydatnienia jaskrawości owych typów arystokratycznych, tak niestety pospolitych a tak prawdziwych. Najwyborniejszym wśród nich jest bez wątpienia Szambelan, nieoceniony w swym cynizmie naiwnym. Jak pysznie używać on umie wyrażeń tuzinkowego patryotyzmu, objaśniając niemi z całą bezczelnością najbardziej antipatryotyczne postępki! Posłuchajmy np. jak tłumaczy, na swoją największą pochwałę, mnogość i różnorodność orderów, jakiemi ozdobił klapę od fraka dla zaimponowania „kochanej babci“:

„.... odziedziczyłem po ciotce majątek w księstwie. Tam potrzebuję krzyżyka pruskiego. Mam dobra ua Ukrainie i Podolu. Tam mi św. Anna otwiera drzwi, które bez niej byłyby wiecznie przedemną zamknięte. Posiadam dom w Warszawie, gdzie bez mego szambelańskiego klucza mógłbym co drugi dzień dostać się do kozy. A że krzyż pruski, św. Anna i szambelaństwo rossyjskiego dworu łagodzę i równoważę kawalerstwem maltańskiem i orderami papieskiemi, to chyba nie na potępienie, lecz na uznanie zasługuje. Niech mi babcia wybaczy, ale trzeba być pono ślepą, głuchą i rozstrojoną... tak, rozstrojoną... aby nie usprawiedliwić pewnej koniecznej hipokryzyi w naszem położeniu... w naszem strasznem położeniu. Czyż dla tego, że lawiruję, bo lawirować muszę, mam być złym Polakiem? (Coraz ciszej). Broń Boże!... Nie, nie, nie... nie jestem złym Polakiem, co mam honor oświadczyć panom.. ale w sekrecie“.

A na prośbę księcia, żeby zdjął choć parę orderów, śmiało i głośno odrzeka: „Oni jednego. Trzeba mieć odwagę swoich przekonań“.

Pokrewnym typem, choć mniej dosadnie uwydatnionym i sympatyczniejszym, bo trapionym wyrzutami sumienia, jest Hrabia, którego rolę uzupełnia z wielkim taktem autorskim i umiarkowaniem żona jego Karla; pojmuje ona doskonale upadek moralny męża i swój własny, nie znalazła wprawdzie w sobie dość siły i prawości aby go uniknąć, — lecz ocknęła się i wstręt ją do własnej przeszłości przejmuje.

Co do księcia, głównego bohatera, posiadacza owych „uroczych oczu“, grzeszy on brakiem wyrazistości. Charakter jego chwiejny, nieco zablady, objawia się najwybitniej w scenie z Karlą, opuszczoną kochanką. Niewyraźność tę dzieli zresztą z Ludwikiem, zakochanym bez pamięci w Tereni, co usprawiedliwia tylko do pewnego stopnia brak energyi i konsekwencyi w postępkach.

Inną grupę tworzą typy stanowczo dodatnie, do których zaliczyć należy przedewszystkiem Kasztelanową, Rejenta i Terenię. Kasztelanowa ton nadaje całemu otoczeniu swemu; w rejencie ujawnia się uosobienie zaufanego doradcy, pełnego czci i uwielbienia dla kasztelanowej, lecz nie wahającego się w danym razie wystąpić z całą brutalną niemal stanowczością, gdy stara jego przyjaciółka popełnić ma mimowolnie uczynek szkodliwy. Terenia ujmuje prostotą swoją, niewinnością, a tchnienie mistyczne, jakie ją owiewa, czyni ją tem sympatyczniejszą dla widza.

Mamy jeszcze parę ról dodatkowych, wśród których najbardziej uwydatnia się Petronella, zaufana rezydentka, wyborny typ starej panny, oraz Matylda, żona szambelana, personnyfikacya arystokratycznej gąski, przez męża własnego traktowanej jak małoletni podlotek.

Na scenie lwowskiej, „Urocze oczy“ przedstawione zostały po raz pierwszy 3 stycznia r. b. Obsada nie ze wszystkiem była zadawalniającą Rolę Szambelana grał znakomicie p. Ruszkowski, Rejenta doskonale p. Chmieliński. Pan Żelazowski nie zdołał uwypuklić zasadniczych rysów niezmiernie trudnej do odtworzenia roli księcia. Pani Cichocka wlała wiele uczucia w rolę Kasztelanowej, cokolwiek przekraczając miarę gdzieniegdzie. Pani Gostyńska z wielkim humorem i odcieniem rzewności odtworzyła rolę Petronelli. Pani Siemaszkowa złożyła dowody prawdziwej inteligencyi i zrozumienia przedmiotu jako hrabina Matylda. Panna Czaplińska była poprawną Terenią, cokolwiek za sztywną, nie dość naturalną i poetyczną dziewczynką. Pan Kliszewski również poprawnym Ludwikiem. A pani Siennicka doskonale uosobniła śliczną, milutką, niemądrą szambelanowę.

Niezmiernego uroku dodaje całej sztuce prześliczny język, potoczysty i wy-

tworny styl Sarneckiego. Zakończymy recenzyę naszą wyrazem uznania i żalu. Uznania dla autora, który stworzył sztukę niepospolitą, a nie dał się unieść w wyborze tematu osobistej ambicyi, którąby go pchnąć musiała do zrywania laurów na największej i najdoskonalszej scenie polskiej, w Warszawie. I żalu, że wskutek właśnie treści swojej — wysoce niecenzuralnej -- komedya ta nie może być odtworzoną przez artystów warszawskich, którzy jedni potrafiliby ujawnić całą jej wartość — i przed publicznością warszawską, któraby ją potrafiła ocenić. *Ant.*

BIBLIOGRAFIA.

Kazimierz Gliński: Dramaty. Warszawa. Nakład księgarni Bukowińskiego. 1893.

W tomie tym mieszczą się dwa dramaty: Anna Firlejówna i Almanzor. Znany krytyk dr. Piotr Chmielowski poświęcił im w ostatnich numerach Tyg. ill. obszerną, nader pochlebną recenzyę. W piśmie naszem także zastanowimy się nad dramatami wysoce utalentowanego poety.

Dr. Albert Zipper: Lutnia i miecz. Życie Szandora Petőfiego, (z portretem autora). Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie.

W czasach, kiedy walki o wolność są często potępiane, dr. Zipper przypomina czytelnikom dzieje krótkie, lecz świetne bohatera zapasów o wolność Węgier — Petőfiego. Słowianin z krwi, ukochał Petőfi obcy język, obcą narodowość, za sprawę jej wolności życie położył, a nawet więcej jeszcze zrobił dla niej, bo geniuszem swoim przyczynił się do wykształcenia języka węgierskiego i do stworzenia jego literatury, której sam stał się najpiękniejszą ozdobą. Życie poety opowiedział autor nader zajmująco na podstawie licznych o nim wspomnień i listów.

— **W Pall Mall Gazette** w N. 8.887, 8.889 i 8.892 Władysław Prawdzic, umieścił szereg artykułów p. t. „Orderreigns in Varsav“, w których streszcza obecne położenie Polski pod rządami rosyjskiemi.

— **Wyszedł Zeszyt XII.** (za grudzień 1893 r.) pisma p. t. „Ekonomista polski“. Bardzo bogata i poważna treść tego pisma świadczy, że skupiły się koło redakcyi wybitniejsi nasi ekonomiści. Znajdujemy tu dalszy ciąg niezmiernie interesującej pracy stałego współpracownika naszego p. Stefana Komornickiego, p. t. Zabory i kolonizacya niemiecka do r. 1848. Obszerna ta praca, stanowiąca cząstkę całości, drukującej się od dłuższego czasu w „Ekonomiście“ p. t. Polska na Zachodzie, zwróci niezawodnie na siebie uwagę szerokich kół czytelników zarówno naszych, jak wykształconych Słowian, interesujących się losami własnego plemienia w walce z zaborczą polityką germańską.

W dalszym ciągu p. Paweł Brona z fachową znajomością rzeczy przemawia w sprawie reformy statystyki zbiorów, a p. Stan. Miziewicz: W sprawie rozciągnięcia obowiązku ubezpieczenia na szersze koła robotników. Bohdan Kutyłowski w artykule wstępnym p. t. Włościańska własność ziemska w Rosyi właściwej traktuje przedmiot niezmiernie doniosły pod względem ewolucyi, jaką własność ziemska, a raczej jej formy, przechodziły w Rosyi. Autor zbyt mało jednak obznajomiony z historyą własności ziemskiej i nie panuje nad materyałem, w bardzo małym stopniu dostępnym mu, — a z tego powodu praca jego pod względem naukowym pozostawia wiele do życzenia.

Dział sprawozdań i kronika prowadzone w Ekonomiście bardzo wyczerpująco.

— **La maladie de l' Europe.** —

Nieznany autor tej książki dochodzi do wniosku, że przyczyną nienormalnego położenia Europy obecnie jest brak Polski, jako państwa. Autor doskonale obeznany ze stanem dzisiejszym Europy, wprost utrzymuje, że dla Prus jedynem wyjściem z dzisiejszego położenia byłoby podniesienie myśli odbudowania Polski, że myśl ta znalazłaby życzliwe poparcie Austryi, Francyi i Turcyi, jakoteż potężną pomoc Anglii. W ten sposób zdołanoby utworzyć przeciwwagę rozrastającej się barbarzyńskiej potędze Moskwy. Pogląd — jak dla nas, nie jest nowy, lecz zasługujący na uwagę z tego względu, że kwestya polska znalazła nareszcie dostęp do mężów stanu i wysuniętą została na pierwszy plan w polityce Europy.

Czesław Lubiński: Z niwy śląskiej. Wiersze. 2 tomy w 1-nym. Nakładem „Katolika“ (Bytom).

Nasza poezya ludowa, leżąca od dłuższego czasu odłogiem, wzbogaconą została wiązanką pieśni ludowych, posiadających co do pięknej formy i treści swej te wszystkie zalety, które każą przypuszczać, że niejedna z piosnek przejdzie w usta tego ludu, którego życie i uczucia autor tak wiernie maluje. Zwłaszcza dla ludu polskiego na Śląsku, poezye te pełne otuchy i nadziei prawdziwą korzyść przynieść mogą i pokrzepić budzące się warstwy do życia narodowego.

Przytaczamy tę jedną strofkę:

Jak się z wiosną budzą gaje,
Świeży liść i wiatr szeleści,
Tak wsród ludu szmer powstaje,
Który nową wiosnę wieści.
Wiosnę ludu, czynu, słowa;
Weźm znów lutnię, precz z skargami,
A na Ślązku zabrzmi nowa
Pieśń radosna — bo Bóg z nami!

WESOŁY KĄT.

DO WESOŁEGO KĄTA!

Wesoły Kącie! jakże to? czy seryo
Każdy, kto tylko szukać w Tobie zechce
Tego, co nerwy, ścięgna śmiechu łechce,
Znajdzie je? — Idźże z taką fanaberyą!
Ręczę: niejeden w tobie drzemkę utnie —
Inny zawoła, że płaczesz wierutnie!

I nie do śmiechu wcale nieraz usta
Temu owemu złożą się, mospanie,
Gdy własnej jego skórze się dostanie
W tobie, Wesoły Kącie; — i Prokusta
Łoże niejeden może uzna w tobie,
Co niby chleb chcesz odbierać Zagłobie!

Wesoły Kącie! jakże to?... Więc szczerze:
Jak się rzecz z ową ma twą wesołością?
Jeśliś się sparał z satyrą jejmością,
To chyba ona skubie teraz pierze
I z malinnego soku ciągnie hausty —
Ona! w żółciowe zasobna inkausty!

Prawda, że można przez łzy się uśmiechać;
Znam takich, którzy śmieją się na umor
Z losu, co wszystek odebrał im humor; —
Prawda, że można i na kiju jechać,
Byle fantazya... a tej nie brak pono
W kraju, gdzie miodek słuszny wymyślono.

Dziej się więc ... próbuj mój Kącie Wesoły
Swej wesołości, choć tak ciężkie czasy!
Zobaczym, czyś jest z tych Stańczyków rasy,
Którzy mądrości i życia i szkoły,
Niżli z katedry trafniej — a weselej —
Dzwonkami czapki wykładać umieli.

Próbuj! — a pomnij, pomnij, aby ciepło
Polskiego serca zawsze było na dnie
Twej wesołości; żółć niechaj przepadnie!
Pomnij — odchuchać masz to, co zaskrzepło
W krach samolubstwa... Zadzwońcież, za-
[dzwońcie
Dzwonki Stańczyka w tym Wesołym Kącie!

B.



Z WYSTAWY KRAJOWEJ.

Sto pałaców, pawilonów,
Hal, fontan, kiosków
Już się wznosi dzięki różdżce
Dyrekcyjnych Bosków.

Istni bo to czarodzieje:
Nikt pojąć nie może
Jak i kiedy stał się cud ten
Na Stryjskim ugorze!

Cześć im za to, wdzięczność szczera
Słusznie się należy:
Mają hart i mają serce
Kresowych rycerzy!

Obraz chcą nam stworzyć pełny
Pracy kraju — życia —
Wszystkie nasze ideały
Wydobyć z ukrycia....

Więc już tylko jedna prośba
Cni dyrektorowie!
Jedna prośba, którą zamknę
W takiem oto słowie:

„Baczcie, w tym obrazie pięknym
Naszej pracy — plonu —
Ideałów — by nie brakło
Starego też Tronu...

„Piastów, Jagiellonów Tronu,
Wazów i Batorych,
A przy tronie Białych Orłów
Nie brakło — tych skorych....

„Białych, skorych Orłów owych
Co „za naszą waszą“
Rwą się wolność, gdzie ćmy nocne
Słońca brzaski gaszą.

„Baczcie, byśmy prócz okazów
Pracy i jej płodu,
Okazali na Wystawie
Majestat narodu!“

B.



W sekrecie!

Cyt! — nasi anarchiści — mówię to w se-
[krecie —
Wiedząc, jaka to słaba posłów naszych
[strona,
Umyślili grasować w sejmowym bufecie
Z pomocą dynamitu — papy Morrisona!



U prezydenta kolei.

(Na audyencyi).

— Czego Pan żądasz?

— Posady, Ekscelencyo, jako rodak, przybyły z Gal...

— Tak? a do czego się pan nadaje...

— Proszę trochę głośniej, bo nie dosłyszę...

— A to dobrze, to bardzo dobrze, znajdziesz pan pomieszczenie w biurze reklamacyjnem...



DEMOKRATA.

Słuchajcie... pan Walenty chwat
Wystąpił na estradę,
Na posła on się stara z miast —
Wstecznikom da on radę!

To demokrata czystej krwi,
Na nim się nie zawiedziem,
On walczyć będzie póki sił
Z przesądem jak z niedźwiedziem.

Słuchajcie... mówi... patrzcie... Tłum
Na ręce go porywa:
To prawy człek! z tradycyą on
Zamachem jednym zrywa.

Wybrany!... brawo! setnych lat
Niech szczęści mu się praca,
Z parlamentarnych niechaj walk
Wśród nas odpocząć wraca.

I pan Walenty jechał hen
Z mandatem jak z armatą...
Da on tam pieprzu, mówił kraj —
Wszak przysiądz można na to.

* * *

Po roku w sali zszedł się lud,
Walenty poseł staje,
Bo z swych czynności, w Wiedniu tam,
Wyborcom sprawę zdaje.

Słuchajcie... mówi — Cisza... co?
Walenty zbielał bardzo —
Chwali szpiegostwo, chwali to,
Czem wolne duchy... gardzą.

Na Boga! mówi, że „nasz“ rząd
Dla kraju jest filarem,
Że on z postępem rozstał się
Skwapliwie, jak z ciężarem;

Że opozycya w Wiedniu tam —
To równa jest zabawie;
Że w parlamencie dzisiaj on
„Regierungsfähig“ prawie,

Że... Cisza... bowiem zgłupiał lud
Na takie sprawozdanie
I nic... Ministrem będzie on
I nic mu się nie stanie!

* * *

U nas tak zawsze... nie dziw więc,
Że naród chwałę traci,
Gdy w parlamencie idą zań
W bój tacy demokraci.

Szpon.



NIELOJALNY PODEJRZANY.

Pan Paweł na loteryę nie stawiał z zasady,
Stempli nie potrzebował, zgodnie żył z sąsiady;
Cygar, fajki nie palił i nie jadał słono,
Nawet taniej tabaki nie zażywał pono;
Jako człek nielojalny nie uszedł szykany
I po najdłuższem życiu umrze — podejrzany.



W wieku postępu.

— Czy konsyliarz nie pieczętuje się przypadkiem Niedźwiedziem?

— Nie pani hrabino, ani Kozłem nawet.

— Więc któż go rodzi?

— Matka, pani hrabino.



Między małżonkami.

— Ach mężu, jakie ty masz rzadkie włosy!

— Nic nie szkodzi moja droga, rzadkie rzeczy są dziś bardzo podziwiane i cenione.



W salonie.

— Czytałeś pan Szczęsnej „Poezye“? Są tam w nich uczucia najszczersze...

— Tak... jednak choć Szczęsna autorka, to przecież mniej szczęsne jej wiersze.

Kolec



Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: TADEUSZ DWERNICKI.